Nr. 27. Lwów, Niedziela dnia 3. Marca 1878 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** złr. **60** cnt. półrocznie **8** złr. **80** cnt. kwartalnie **4** złr. **40** cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie **10 franków.**
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

Czy są jeszcze Polacy?

Miłość ojczyzny — uczucie to tak silne w sercach polskich, że dosyć jest otworzyć karty Dziejów narodu polskiego, a przykłady znajdziemy na każdej stronicy. Z rozbiorem Polski uczucie to w każdym Polaku spotęgowało się w sposób zupełnie naturalny — jak mówi wieszcz:

„Ojczyzno moja! ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię utracił.“

To też w stuletniej epoce porozbiorowej patryota a Polak stały się synonimami. I słusznie powiedział wielki patryota przed sądem berlińskim w 1846 r.: Chcecie uwięzić patryotów polskich, rozszerzcie więzienia wasze, bo nie masz w Polsce nikogo, którýby nie marzył o niepodległości Polski, którýby do jej urzeczywistnienia nie chciał się przyczynić.

Nie odmawiamy miłości ojczyzny innym narodom, ale u nas dosięgła ona swego szczytu, za Polskę i dla Polski walczących widziano nas na obu półkulach świata. Może to nie zawsze było praktyczne, ale tembardziej dowodziło wielkiej miłości ojczyzny, gorącego pragnienia przelania krwi swojej dla niej.

Kilkudziesięciu młodzieńców 29go listopada rzuca się bez namysłu na wroga, a nazajutrz już cały naród pod bronią.—19go stycznia z gołemi rękami młodzież rozpoczyna walkę, uderza na bagnety i działa, a w ślad zatem na wszystkich punktach Polski również bezbronny naród powstaje.

Zagrzmiały działa nad Renem, otucha wstąpiła w serca nasze, — upadek Francyi jak żywo odczuła Polska! Turcya stanęła do boju z Moskwą,— zapomnieliśmy o grzechach Turcyi, nie było Polaka, którýby nie sympatyzował z nią, którýby nie pragnął jej zwycięztwa.

Czyż wobec tak wymownych świadectw wolno choćby na chwilę powątpiewać o patryotyzmie Polaków? Czy wolno przypuszczać, że Polak za jaką bądź cenę przestanie kochać ojczyznę? Zaprawdę nie. I nikt zdrowo myślący nic podobnego nie przypuści.

Im więcej się w rozbiciu naszem różnimy, im więcej się kłócimy, im zażartsze są nasze polemiki, tem większy w tem wszystkiem dowód, że kochamy ojczyznę, że szukamy dróg służenia jej, że o każdy drobiazg, który według naszego zdania przyspieszyć może odrodzenie walkę na śmierć staczać jesteśmy gotowi.

Tak Stańczycy, którzy posuwają się w swej zaciekłości do najohydniejszych niedorzeczności nie czynią tego dla fantazyi, tylko im się zdaje, że powstanie było zgubne dla Polski, obawiają się nowego powstania, które jak zmora sen im odbiera, i chcą z ohydzeniem powstania powstrzymać naród od nowych usiłowań na tej drodze, więc niestworzone brednie wypisują, wypisują je wbrew przekonaniu własnemu, narażając się na pogardę ludzi trzeźwo myślących. Jest to koterya nieskończenie szkodliwa dla sprawy narodowej, ale z tem wszystkiem czyż można im odmówić patryotyzmu, czyż nie składają najwyraźniejsze jego dowody. Walczmy z nimi, starajmy się sparaliżować ich wpływy szkodliwe, ale nie nazywajmy ich zdrajcami.

Tak pewna koterya godzących się z losem, którym się zdaje, że od Moskwy najprędzej Polska może coś zyskać, co przyspieszy jej oswobodzenie, czyż nie działa pod wpływem uczucia patryotycznego? W błędzie są ci ludzie, postępowanie ich jest szkodliwe dla sprawy narodowej, ale są to ich przekonania, dla których poświęcili popularność, pozwolili obrzucać się błotem i walczą za tę wiarę... dla Polski.

A ileż to jeszcze jest u nas chorobliwych poglądów, szukających dróg do oswobodzenia ojczyzny z niewoli, czepiających się klamek Bismarka, Disraelego, Napoleona, papieża i innych możnych tego świata.

Są to objawy szkodliwe, bo zaszczepiają zwątpienie i odrywają wiele jednostek od pracy poważnej, jednolitej, zużywają wiele sił na walkę bezużyteczną, ale są to tylko drobne koterye. Pośrodku stoi naród, który pracuje i idzie swoją drogą, chorobliwe te gałązki uschną i odpadną, nie zdolne powstrzymać prac narodu, chociaż paraliżują takowe i opóźniają postęp.

Patrzmy z jaką uporczywością pomimo dwuletnich nawoływań kraju delegacya nasza opiera się wystąpieniu czynnemu, aby broń Boże nie narazić na szwank tej odrobiny wolności, jakiej naród Polski pod panowaniem austryackiem używa. Jak ona waży każde słowo, które ma wypowiedzieć. Postępowanie to delegacyi według nas jest posunięte do przesady i przynosi szkodę sprawie narodowej, ale nie możemy nie uznać szlachetnych pobudek i wielkiego zaparcia się tych ludzi, którzy zdolni są oprzeć się pokusie popularności i wytrzymują oburzenie całego narodu.

Nie podzielamy więc zdania tych, którzy ciągle wołają, że nie ma w narodzie patryotyzmu, że materyalizm stał się bożyszczem Polaków.

Narzucają się nam dwie powagi narodowe, jedna w Krakowie między Stańczykami, druga we Lwowie między jezuitami polskimi, i każda woła, że tylko ci, co wyznają ich przekonania, co uznają ich władzę, są dobrymi Polakami, reszta zdrajcy, odstępcy albo warchoły i tp. Według tej rachuby byłoby kilkunastu Polaków w Krakowie i kilku we Lwowie, a reszta trzydzieści milionów zdrajców. Ci ludzie w swojem zacietrzewieniu nawet nie widzą na jaką śmieszność się wystawiają.

O patryotyzm polski bądźmy spokojni, nie zaginie on i gdy przyjdzie czas, znajdziemy się wszyscy pod chorągwią, która nas poprowadzi do celu. Na dziś byłoby pożądanem mniej kłótni o drobiazgi a więcej szczerej pracy.

ŁUSIA BURLAK.

NOWELLA

SEWERA

na tle najprawdziwszych faktów osnuta.

(Dokończenie).

IV.

Przyjaciółki w klasztorze długo szukały na mapie ziemi Siedmiogrodzkiej, i nareszcie znalazły ją, rachując odległość jej od Krakowa.

Sytuacye zrównały się, gdyż przedmiot miłości młodej szlachcianeczki, syn rządcy jej ojca, kończył nauki w Gracu. Sytuacye zrównały się tak, jak odległości były prawie jedne. Po długich opowiadaniach i zwierzaniach, dwie małe męczennice miłości uradziły czekać w klasztorze aż do powrotu ukochanych.

— I wtedy kazać im się wykraść — dokończyła szlachcianeczka.

Słowa tego Łusia nie rozumiała, i pomimo wielokrotnego tłómaczenia przyjaciółki dokładnie go zrozumieć nie mogła, przystała jednak na propozycyę czekania na Staszka w klasztorze.

Od tej chwili świat się uśmiechał do dwóch zakochanych dziewczynek. Jedna marzyła o romansowych przygodach, druga o cichem życiu na własnej zagrodzie.

Nic im już nie zachmurzało pogodnego nieba, nawet przyjazd profesora Togi na Wielkanoc nie był ciężarem dla Łusi. Raz, że przysłał tort niby dla ksieni, z którego każda z pensyonarek dostała po kawałku i za który dziękowały Łusi, a następnie, że profesor zaprowadził Łusię do teatru. Wprawdzie Łusia mało co rozumiała, lecz ponieważ zazdrościły jej koleżanki, była troszkę z tego dumną.

Egzamina się zbliżyły, należało się uczyć, a tu dnie tak piękne, tęsknota taka ciężka. Należało się jednak uczyć, dla samego wstydu, z ambicyi i dla tego, że nie było nic lepszego do roboty w klasztorze.

Nareszcie skończyły się ciężkie dnie próby. Łusia otrzymała list pochwalny, a ksieni na zachętę dała jej w nagrodę pilności książkę do nabożeństwa w czerwonych okładkach.

Nikt nie przyjechał po Łusię, ojcowie nie mieli czasu, profesor miał egzamina, napisał tylko list i przysłał pieniądze z prośbą, aby dziewczynkę odstawiono koleją do Słotwiny.

Pożegnanie przyjaciółek było tkliwe, z zakonnicami serdeczne. Powtarzano sobie stokrotnie do widzenia za dwa miesiące.

W Słotwinie na stacyi czekał Paweł. Łusia z wagonu wołała na niego, konduktor otworzył drzwi...

— Panienko — odezwał się Paweł — toć ja panienki nie poznałem.

Łusia nic nie odpowiedziała, oddając mu tobołki. Dopiero na bryczce odezwała się:

— Cóż to Paweł nie wiesz, że mnie Łusia na imię.

— A juści Łusia — poświadczył Paweł — tylo przestrojona na pannę, że mi nijako tak mówić.

— Bój się Boga, mów mi Łusia, bo ludzie powiedzą, że mi się w głowie przewróciło.

Łusia umieściła się obok Pawła, i zaczęła się serdeczna pogadanka o ludziach i zwierzętach całej wsi.

— A to Łusia nie wie, że Staszka wzięli do wojska — przemówił poganiając Paweł. —

Łusia zarumieniła się, ale nie wypuściła pary z ust.

— Zawrzykrajka jeździli do niego, aż do Krakowa i nic nie wskórali. Gospodarz i gospodyni byli z tego kontentni, tylko do ludzi nie odzywali się z tem...

Łusia i na to nic nie odpowiedziała.

— A ta jałowica, co miała być Zośki Gofronionki, co tak uganiała...

— Wiem wiem — pochwyciła Łusia.

— Przebiła się — zawołał Paweł.

— Przebiła — powtórzyła cicho Łusia — ale nie bardzo żałowała, zazdroszcząc o Zosię.

— A moje cielęta? — spytała.

— Takie to cielęta — odparł Paweł — to już bez mała krowy! Jałowice zmyślne aż miło!

— A gołębie?

— Przybyło młodych ze dwadzieścia, albo i więcej? A dziedzic wygnał Lejzora z karczmy, po nim wziął Koterbski, co się mianuje obywatelem z Tarnowa, pono dokument swój na to zawiesił w karczmie.

— Gospodarz kupił barana i dwie owce. Już się okociły!

— Mają jagnięta! — zawołała Łusia.

— A jakie jeszcze swarne! Będziemy mieli latoś moc śliw, i pszenica piękniejsza jak łońskiego roku, a Helisię Głąbównę wywołał kanonik wczoraj z Kasprem Nieponiem. Mówią, że bierze za nią trzy morgi. Wesele będzie u Koterbskiego, przez całe trzy dni, tak zapowiedzane, ale będą hulać cztery albo pięć. Cygany z Włoszyna mają grać. Helisia chciała Łusię na druchnę, ale ludzie powiedzieli, że Łusia już do panów przystała i że się bez marcypanów wesele obejdzie.

Łusia aż się zerwała z gniewu i oburzenia, lecz spojrzawszy na swoję suknię, zamilkła i usiadła zadumana i rozżalona. Jechali raźno, Łusi serce biło ze wstydu, a radaby wyskoczyć z bryczki i biedz naprzód, tak jej było pilno do swoich. Z daleka zobaczyła murowaną kaplicę na cmentarzu pokrytą czerwoną blachą.

— Myszków! — wydobyło się z piersi dziewczęcia.

Koło kościoła, między karczmą a kuźnią, skręcili na lewo do wsi. Kobiety wyglądały z chat i ogrodów, lecz się nie kłaniały, tylko dzieci, a wszystkie znały Łusię, wołały ją po imieniu. Wioska wydała się dziewczynce mniejszą, biedniejszą, nieco za ciasną, ale zawsze jednako drogą.

Wjechali w opłotki, matka czekała na podwórku, przy niej stał w koszuli, czerwonej krakusce na bakier, a batem w ręku, chłopak czteroletni, Jantoś, brat Łusi.

— O moja sierotka — zawołała matka wyciągając ręce do córki — jak to biedactwo wymizerowane, jakie bledziutkie. Wymęczyli mi dziecko, i już!

Łusi z rozczulenia łzy w oczach stanęły, przytuliła się do matki i całowała ją w ręce, pochwyciła Jantosia, pieszcząc go...

— No, chodź, chodź moja panienko do izby, ugotowałam kurczę w mleku, ale pewno ci po miastowych potrawach smakować nie będzie.

Łusi przykro się zrobiło na tę przymówkę, a gdy matka w izbie dodała:

— Ale gdzież tu posadzić taką panią?

— Moja matusiu — zawołała — nie drwinkujcie sobie ze mnie, bo mi serce pęknie! — Usiadła na ławie za stołem i jadła kurczę ugotowane w mleku.

Matusia usiadła koło niej i zaczęło się wzajemne opowiadanie przygód dziesięcio-miesięcznego okresu we wsi i klasztorze. Łusia mało mówiła, lecz dużo słuchała. Opowiadanie matki obudziło w dziewczynie wszystkie wspomnienia rozkoszy wiosny w życiu i w naturze. Łusia teraz zaczęła się uczyć kochać swoją przeszłość, po jej utracie.

Matka poszła pleć proso, dziewczynka wybiegła na dziedziniec. Gołębie do niej nie sfrunęły i jeden z nich nie usiadł jej na ramieniu! Wróciła do izby, pochwyciła garstkę grochu, sypnęła im, zleciały wprawdzie, ale gdy się zbliżyła, uciekły przestraszone. Dawniej nie uciekały. Osiołek stał przy płocie, zawołała na niego, ani się obejrzał, a gdy podeszła, wierzgnął i pomknął. Dawniej sam przychodził. Nawet Burek jej nie poznał, chciała go pogłaskać, warknął, podtulił ogon pod siebie i odszedł ponury. Weszła do obory. Pusta. Smutno jej było, poszła na wieś, nikt do niej nie wyszedł, nikt się nie zbliżył, nie przemówił. Wprawdzie dziewuchy, gospodarze i parobcy byli u roboty, ale żeby też jedna z gospodyń powiedziała jej dobre słowo. Srodze ją to bolało. Zadumana, nie wiedząc sama jak, znalazła się na końcu wsi. Szerokie błonia, pełne bydła, za niemi łąki.

„Oj dana, dana, dana,
Pod kopeczką siana" — rozległo się w powietrzu. Łusia chciała biedz na łąki, przywitać rówienniczki, przyjaciółki, nacieszyć się z niemi. Lecz cóż, ta długa bronzowa suknia, jakżeby wyglądała w pośród wiejskich dziewuch, a jakby się z niej naśmiewały.

Na uboczu, po prawej stronie, stała chałupka Zawrzykrajki, matki Staszka, i tam Łusia obejrzawszy się na wszystkie strony, czy kto nie podgląda, pobiegła. Widać Zawrzykrajka przeczuwała odwiedziny dziewczynki, bo widocznie czekała, kiwając ręką przez otwarte okno.

Był list od Staszka, pisany przez freitra, a podpisany własnoręcznie: Stanisław Zawrzykraj. Donosił w nim, że i on zostanie freitrem, ino się pisać nauczy. I że jest zdrów, i że mu się strasznie cni bez matusi, a najbardziej bez Łusi; freiter napisał w nawiasie panny Łucyi.

Stoi na wsi pod Klausenburgiem, ale na żadną dziewuchę spojrzeć nawet nie chce, bo się z niemi dogadywać nie może, a myśli o pannie Łucyi, i radby aby panna Łucya napisała do niego list a matusi dziękuje za pięć papierków. Kapitan go lubią, a z panem freitrem piją wino, bo miarka dobrego stoi na szóstkę.

Łusia odczytywała raz po raz dwa razy list i przyrzekła, że odpisze, za co Zawrzykrajka odpowiedziała jej, jak ludzie wydziwiają, że poszła do klasztoru, i że się chce wydać za prefusera. Jak parobcy się przekpiwają z niej, a dziewuchy śmieją.

Wysłuchała wszystkich skarg i opowiadań, i ze spuszczoną głową, znękana wróciła do domu. Marzyła, że cała wieś wybiegnie na jej spotkanie. Ona ich tak kochała!

Wrócił gospodarz, wróciła i gospodyni. Ojciec pogłaskał córkę po głowie, gdy go całowała w rękę, a gdy Łusia pokazała list pochwalny i nagrodę, pokiwał głową i poradził jej, aby z tem poszła do kanonika.

Matka ugotowała Łusi zacierkę z jajami na mleku dla tego, że dziewucha odwykła od grubego jadła. Profesor nie przyszedł, musiał być we dworze. Nie mówiono o nim. Posłano dziewczynie w komorze, a łóżeczko czystą pościelą obleczone i pierzynka, chociaż było gorąco. Łusia długo zasnąć nie mogła, układając plany jak wyjść z ciężkiego położenia. Nic nie

postanowiła i zasnęła, jak zwykle młodość sypiać lubi.

Nazajutrz rano patrzała z okna jak parobcy, a za nimi dziewuchy szły na robotę. Dostrzegła Halisię Głąbównę, wybiegła do niej, lecz Halisia zawołała:

— Kłaniam się pannie Łucyi Burlakównie — i pobiegła nie oglądając się.

Tego już było zanadto dla jednego biednego serca. Tego już było nadto dla cichej i cierpliwej dziewczynki. Są chwile, w których krew się burzy, jak na cichych wodach piętrzą się bałwany. Tu i tam potrzeba było jednych z zewnątrz potrąceń...

Łusia blada wpadła do pustej izby, drżącemi rękami rozerwała na sobie sukienkę, zdjęła ją i rzuciła na ziemię. To samo zrobiła ze spodniczką, ściągnęła z nóg trzewiki, zdjęła pończochy! Wydelikacone jej nogi urażały się o ostre kanty i gwoździe podłogi, nie zwracała jednak na to uwagi. Pobiegła do komory, wydobyła ze skrzynki wieśniacze ubranie, przyniosła je do izby, i z gorączkowym pośpiechem zaczęła się przebierać.

Czerwony gorsecik był troszkę za ciasny, przedziergała go różową wstążeczką, że jakoś dobrze jej z tem było, do tego zawdziała niebieską spodniczkę, głowę przewiązała białą chusteczką, której jeden róg spadający na tył głowy był haftowany. Przejrzała się w lustrze i uśmiechnęła smutno, gdyż pomyślała, co za szkoda, że nie ma Staszka, bo gdyby ją zobaczył..... Nie było czasu na zachwyty; rozpakowała swoje tobołki, wyjęła z nich rzeczy, bieliznę, nawet książki i kajeta, wszystko co kiedykolwiek dostała od profesora, bo i pierścionek kupiony dla niej w Krakowie. Do tego dołączyła censurę i list pochwalny z pensyi, zrobiła zawiniątko, związała je i czekała, aż dopokąd nie zadzwonią na dzieci w szkole dla dokończenia egzaminu. Za chwilę piskliwy głos dzwonka, uderzył o szyby chaty. Zerwała się, zarzuciła na plecy tobołek i prosto przez wieś śmiało i odważnie pobiegła do mieszkania profesora, położyła zawiniątko na łóżku i sama cicho i ostrożnie wysunęła się, minęła zdala kościół i szkołę, i z tryumfem weszła do wsi odrodzona witając się z gospodyniami pochwalonym Jezusem Chrystusem i całowaniem ich rąk.

Postać rzeczy zmieniła się, sympatya przechylała się stanowczo na stronę naszej dziewczynki. Gospodynie głaskały po twarzy Łusię, a te, które miały synów, całowały ją.

— Nie wrócisz do klasztoru? — pytały.

— Nie — odpowiadała stanowczo Łusia.

— Nie porzucisz swoich, zostaniesz z nami na wsi, nie chcesz być panią...

— Nie porzucę, nie chcę! Jestem gospodarską córką i zostanę nią do śmierci..

Łusia od razu wyszła na bohaterkę. Wieść, podawana z chaty do chaty, obiegła w mgnieniu oka całą wioskę.

Po serdecznych przywitaniach, uszczęśliwiona dziewczynka, nucąc wesoło piosnkę, pobiegła do własnej zagrody. Burek ją pierwszy przywitał, łasił się, skomlał, biegając pędem w około dziedzińca. Gołębie jakby na komendę sfrunęły z dachu, osiołek nie odwracał się. Cielęta pewnoby jej ręce lizały, gdyby nie były na pastwisku. Rozniecila ogień, naskrobała kartofli, zagnietła zacierkę, nawarzyła mleka, i gdy matusia z pola wróciła do domu, objad był gotów.

— Łusiu, o laboga, a cóż się to stało — zawołała gospodyni.

— A nic — odparła Łusia — ludzie wydziwiają i śmieją się, ani się pokazać na oczy. Ja ta gospodarska córka nienauczna na panią, cni mi się bez roboty i bez ludzi...

— A profesor? — spytała frasobliwie matka.

— Ej znajdzie sobie jaką z miasta, a ja ze wsi, to zostanę na wsi. Odniosłam mu wszystko, co jego.

Matka pokiwała głową, nic nie odpowiedziała, a jednak w duchu była z tego rada. Niebezpieczeństwo minęło, bo Staszek w wojsku, daleko...

Pojadły matka z córką i jedynakiem, Łusia wyszukała se grabie, zabrała dwojaki dla ojca, i dalej przez błonia na łąki. Rwało się jej serce, fantazya dostała skrzydeł, myśl pod nowemi wrażeniami odżyła.

Uśmiechnięta, promieniejąca, biegła naprzód. W strumyku wymoczyła sobie nogi z których krew ciekła. Skóra była na nich delikatna, a kamyki takie ostre na drodze. Ej, ktoby tam zwracał uwagę na takie drobnostki!

Oj dana, dana, dana,
Pod kopeczką siana — rozległo się po łące, Łusia się zerwała i pobiegła pędem do ojca. Kosił sam, pocałowała go w rękę, podając mu dwojaki.

Burlak popatrzył na córkę, nie rzekł ani słowa, chociaż się zdawało, że się uśmiecha. Dyplomata, nie chciał naruszać drażliwej kwestyi, bo po za nią stała jeszcze drażliwsza dwóch stów wziętych od profesora.

— Wiele płacą Tatusiu we dworze od grabienia?

— Trzy szóstki na dzień — odparł Burlak.

— Co mam w domu siedzieć, dobrze, że coś zarobię, chociaż półtorej szóstki za pół dnia.

— A no idź — rzekł lakonicznie ojciec, wyławiając kluski z mleka.

Dziewczynka pobiegła, popychana gorączką rozradowanego serca.

— Łusia, Łusia! — wołali chłopcy i dziewuchy...

— Ja to, ja, ta sama, a nie żadna pani, ani panna — pocałowała Helusię Głąbównę, przywitała się z Zosią Gofronianką, pokłoniła polowemu i stanęła w szeregu do roboty, grabiąc siano z wprawą i energią. Dopiero wtedy rozpoczęła się pogwarka o profesorze, Krakowie, Staszku i o sprawach całej wsi. Wesołość zapanowała w gromadce, a śmiechy i spiewy odbijały echa z Brzezinek. Łusia rozkoszowała się w tej atmosferze, czuła się w swoim żywiole, w swem otoczeniu i stosunkach, a że była ładną, białą i dowcipną, i nic jej nie brakowało do szczęścia prócz Staszka, nie dziw, że królowała.

Prawdziwa dopiero uciecha rozpoczęła się po zachodzie słońca, a przy odwrocie z pola. Łusia szła naprzód, otoczona gronem młodych dziewuch, chłopcy po bokach baraszkowali, żartując.

Dowcipy, jak strzały, sypały się równie wesoło i ochotnie z obydwóch stron przyjmowane.

W chatach ognie świeciły, na gościńcu wioski ruch, życie, jakoś ciepło, jakoś serdecznie i miło, jak miłym jest odpoczynek wśród swoich, jak miłym jest odpoczynek po pracy, z nadzieją w wiośnie życia, w rozkwicie wiosny w naturze. Ciepło na sercu i ciepło obok nas. Jesteśmy razem. Słońce kładąc się do snu, pali się, a my? mybyśmy nie zmrużyli oka do rana, bo nam bicie serca, ciepła krew i ogień młodości zasnąć nie dają.

Pogodzona z gromadą i przez zgodę odrodzona dziewczynka, wśród podskoków i głośnego serdecznego śmiechu, wbiegła na dziedziniec. Wtedy dopiero pomyślała sobie, że może w chacie będzie profesor. Przyłożyła buzię do szyby, nikogo! I wbiegła do izby jak sroczka, że aż matka z radości rozśmiała się głośno.

Po kolacyi wyjęła ze skrzynki pióro, atrament i papier, schowała to razem za gorsecik i przypatrywała się z ogródka świecącym gwiazdom, rzucając częste spojrzenia na drogę.

Odgadła, profesor z miną poważną, a z nastraszonemi wąsami, szedł, jak przystało na męża dźwigającego oświatę gminy na swych barkach. Łusia przycupnęła przy płocie, a gdy ją minął, dostała się na drogę i pogoniła na wieś. I gdy profesor rozwodził się szeroko nad swym losem i o zdradzie Łusi, dziewczynka w chacie Zawrzykrajki pisała list do Staszka.

Burlakowie na wszystkie wywody profesora odpowiadali jednym a stanowczym zwrotem:

— Dziewucha nie chce i już!...

Profesor jak przyszedł, tak poszedł, a o dwóch stach nie było mowy, z czego gospodarz jak i gospodyni zarówno byli radzi, chociaż o tem nie wspominali.

Drugiego dnia cała gmina wiedziała o zdradzie Łusi, jak się wyrażała inteligencya Myszkowa. Nieinteligencya zaś nazwała stanowczy krok dziewczynki zwrotem na właściwe drogi, rozumem i upamiętaniem się.

Piękna pani Krzysia dźwigając na swych małych nóżkach tyle, ile tylko udźwignąć było można, toczyła się, wolno popierając laską. Zobaczyła profesora i zawołała go.

— Widziałeś Łusię, jak harcuje boso — mówiła uśmiechając się.

— Nie, nie widziałem — odparł profesor.

— Jest na łące, idź i zobacz! No, no, mój drogi — mówiła poważnie — nie takiemi drogami wpływa się na lud. Nie wyrywajcie z niego jednostek, a nieście światło masom przez szkołę, dobry przykład i wszczepianie poczucia szlachetniejszych potrzeb. Wprawdzie Łusia nie rozmazana „Ulana", ale zawsze zuch dziewczyna i lubię ją!.. Wiele cię kosztowało to szaleństwo?

— Ośmset guldenów — odpowiedział naiwnie uśmiechnięty profesor — nie licząc pączków i tortu...

— A widzisz, nie przydały by ci się na przyszłe gospodarstwo?! Ruszaj do szkoły, pomyślę o tobie, dodała ciszej, boś poczciwy człowiek, tylko... — Nie dokończyła, uśmiechnęła się, kiwnęła laską i zwróciła się do ogrodnika.

Profesor nie dał jednak za wygranę, uprosił księdza Dyonizego, zwanego Dyzią dla dobrej budowy ciała, miłego uśmiechu i panieńskiego układu, aby spróbował siły swej wymowy na słabym umyśle dziewczynki. Dobroduszny ksiądz poszedł do chaty Burlaków i zastał Łusię samę. Zaczął ją egzorcyzmować

słowami ojców kościoła, Łusia zaś w zamian elektryzowała go promieniami czarnych palących oczu i serdecznym uśmiechem. Młody pasterz duchowny zarumienił się, kończąc coprędzej przemowę, na którą sprytna dziewczynka odpowiedziała:

— Że ani tatuś, ani matuś nie chcą, abym jechała do Krakowa — i taką zrobiła minkę, że ksiądz szepnął:

— Apage satanos — i wyszedł z chaty, nie oglądając się.

Stało się, Łusia została i na weselu Halusi Głębówney była najpiękniejszą. Synowie bogaczów wsi zalecali się do niej; tańczyła ładnie, bo drobiła drobniutko jako prawdziwa panna. Czegóż więcej potrzeba, gdy nawet młody Gofron, największy magnat w gminie, pan na 32 morgach a 12tu w dzierżawie, miał posłać do Łusi z wódką i pójść z nią na pacierze do kanonika! I zrobiłby to, gdyby Łusia głośno nie oświadczyła, że swatów nie przyjmie.

Zaraz po żniwach zbierała się kompania z Myszkowa i okolicznych wsi na odpust do Kalwaryi. Sprowadzili sobie z Niedzielisk sławnego kantora,*) który już sześć razy wprowadzał wiernych w podwoje kalwaryjskiej świątyni..

W gromadzie była Zawrzykrajka, matka Staszka, a obok niej Łusia. Uprosiła sobie u ojców pielgrzymkę na podziękowanie Bogu za szczęśliwy powrót z klasztoru do wsi, czyli za szczęśliwe odwrócenie, że nie została żadną i niczyją *przybłędą...*

Pierwszą noc nocowali za Bochnią w lasku sosnowym na wzgórzu obok figury Matki Boskiej, drugą u proboszcza w stodole. Trzeciego dnia po południu, stanęli w miasteczku Kalwaryi, tobołki i żywność zostawili w wynajętej stancyi, a sami świątecznie ubrani, wyruszyli razem z drugą kompanią obchodzić stacye męki Chrystusa Pana. Do kościoła wprowadziła ich kapela.

Nazajutrz rano, Łusia sama pobiegła do zakrystyi, ale był taki tłok, że się dostać nie mogła. Szukała na cmętarzu, aż póki nie spostrzegła księdza, który odbierał pieniądze i zapisywał wota i życzenia proszących.

Dziewczyna przecisnęła się przez tłum, ujęła młodego kleryka za rękę i uprowadziła na bok, a wtedy wsuwając mu w rękę guldena szepnęła:

— Mam ja ci tu mój księżuniu długą prośbę do Najjaśniejszej Panienki...

— Mów, mów prędko to zapiszę — przerwał kleryk i rozkładając księgę, którą trzymał w ręku, zabierał się do pisania.

— Kiedy to długie — odparła — i dlatego sama napisałam; wyjęła z za gorsetu ćwiartkę papieru i wsunęła ją księdzu w rękę.

Kleryk zaczął czytać:

„Łucya Burlak prosi Naświętszej Panienki, aby jej Staszek Zawrzykraj rychło i zdrów wrócił do niej z Siedmiogrodzkiej ziemi z wojska, i aby się nie zalecał do Zośki Gofronówny, ino ją jednę kochał i tylko ją jednę chciał.“

Kleryk młody, dwudziestoletni chłopiec i chociaż dzióbaty, sympatyczny, uśmiechnął się po odczytaniu prośby, za co przez Łusię został pogłaskany po twarzy.

— Dobrze, dobrze — powiedział i chciał kartkę schować, co widząc Łusia:

— Nie nie — zawołała — kartka może się gdzie zawieruszyć, musi być przepisaną do księgi.

— Przepiszę później — wymawiał się księżyna.

— Teraz, teraz, mój złoty księżuniu. — Posadziła go na murawie, trzymała rozłożoną kartkę, pilnując póki wszystkiego dokumentu nie wypisał.

Łusia wierzyła, że Matka Boska tylko z księgi pisanej przez księdza czytuje prośby!

I taką wiarę głęboką, bo naiwną i tyle miłości do rodzinnej wioski i uśmiechów przyrody, tyle serdecznego ciepła, chciał zabić profesor!... Szczęściem, że mu się to nie udało.

Kraków d. 1go Października 1877 r.

Koniec.

*) Kantor od kantyczek. — Tak lud nazywa przewodników prowadzących kompanie do cudownych miejsc.

PODRÓŻ NA OKOŁO... KRAKOWA.

I. KATEDRA NA WAWELU.

W wieku pary i telegrafów — wielkich kompanii „Trans-atlantyków“ i „Trans-pacyfików,“ przerzucających jak piłką podróżnych kilkaset kilometrów na dobę, w wieku, w którym nie w fikcyi już, ale w rzeczywistości w ośmdziesięciu paru dniach, w poprzek wszystkich stref, wszystkich pięciu części świata przejechać i przepłynąć można, mówić o podróży na około Krakowa, jest to zapewne w oczach twoich, szanowny czytelniku... niezwykłą śmiałością.

Ale mimo to... naprzód w drogę.

Jeden ze znakomitszych belletrystów Francyi napisał, o ile pamięć nas nie myli „Podróż na około swego własnego pokoju,“ i miał sposobność do powiedzenia wielu i pięknych rzeczy. My nie czując się na siłach, aby z drobnych rzeczy, jak Francuz, wysnuć wielkie myśli... czepiamy się odrazu przedmiotów kolosalnych, choćbyśmy jak Filistyni w świątyni Dagona, zgruchotani ich rozmiarami być mieli; czepiamy się dzieł tytanów, innych niestety czasów, innych sił i miary innej od dzisiejszych pseudo... czepiamy się pomników Krakowa!

Kołysania jednokonnego wehikułu starczyć nam muszą w tej wędrówce za falowania powierzchni oceanów; nakręcanie karku w podziwianiu wieżyc i sklepień, jedyną ma być fizyczną emocyą, jedynym trudem w tej wyprawie do nieznanych krain. A jednak!... czyż podróż po falach czasu mniej sprawia wrażeń niżeli podróż w przestrzeni?... Czyż jest mniej urozmaiconą? Czyż burze i orkany jednych mniej silne i druzgocące niżeli drugich?... Pomniki Krakowa same nam w stanie odpowiedzieć.

Ale nie lękaj się łaskawy czytelniku! nie mamy zamiaru karmienia cię samemi antykaliami różnego rodzaju; nie myślimy twojej szacownej wyobraźni naginać do cofania się wstecz, w ową mroczną, nudną, spleśniałą przeszłość!... Jako niedorodne dzieci pozytywnego XIX wieku, będziemy się starać: spoglądać, czuć i żyć... chwilą obecną; zastrzegamy tylko sobie dla kontrastu małe wycieczki w przeszłość, o ile one dla zrozumienia obecnej chwili potrzebnemi się okażą. Ofiarujemy ci nasze usługi Sylfa w nadziei, że i ty okażesz się „bon prince“. Pochlebiamy sobie przytem, że przedmiot, który mamy zaszczyt ofiarowywać twojej zużytej nieco przeżytemi wrażeniami wyobraźni, będzie dla ciebie czytelniku największą nowością, a jednocześnie rzeczywistością największego interesu.

Protestujesz! miałbyś nie znać Krakowa?! Tak, nie inaczej! Stawiamy dziewięćdziesiąt dziewięć przeciwko jednemu, że znasz lepiej: Paryż, Londyn, Wiedeń... niżeli sędziwy Kraków, niżeli poczciwą i piękną naszą Warszawę. Katedra kolońska, Il duomo medyolańskie, bazylika św. Piotra, Madeleine i tp. więcej cię zaciekawiały, niżeli św. Jan w Warszawie, kościół Maryacki lub katedra na Wawelu. Znasz lepiej muzea: Luwru, Cluny, Uffizii, Kapitolu i Watykanu... może nawet Pompeję lub ruiny Akropolu ateńskiego, niżeli baszty krakowskie, niżeli zbiory akademii umiejętności, Gabinetu archeologicznego, Biblioteki Jagiellońskiej. Podziwiałeś nieraz piękności krajobrazów, arcydzieła sztuki architektonicznej: Wersalów, Potsdamów, Laxenburgów, Ferrieres, Villi św. Donato etc. etc., a nie znasz dokładnie Łazienek i Wilanowa.

Łazienki i Wilanów! Na wspomnienie tych dwóch arcydzieł gustu i prawdziwie monarszej wspaniałości, tych dwóch klejnotów, godnych najwspanialszej korony, zarumienione wstydem okrzyczanej sławy wille i cottage'e monarchów i bankierów tegoczesnych, blakną i rozpływają się w wyobraźni.

Przejdź łaskawy czytelniku wzdłuż i wszerz całą Europę, nie pomijając nawet owych uroczych Włoch, „w których cytryny kwitną“... a nie znajdziesz nic piękniejszego nad owe Łazienki, które niby Najada zdobna w wrzosy i nenufary wychodzą z głębin zwierciadlanych fal. Z wysokości swego kabryoletu możeś raczył kiedy rzucić obojętnym wzrokiem na owe wdzięczne i szlachetne kontury tej *par excellence* królewskiej willi. Czyż przesadzamy? Więcej piękniejszych i cenniejszych jak dla nas pamiątek, niżeli w Wilanowie, nie znajdziesz w żadnej magnackiej rezydencyi. I na cóż szukać tak daleko i takim kosztem tych wrażeń, jakie się ma pod ręką, a których dostatecznie ani ocenić ani zużytkować nie potrafimy.

Ale to taki już zwyczaj na całym bożym świecie. Mieszkaniec Portici lub Sorento rzadko kiedy odwiedza Wezuwiusz; znaliśmy sami Paryżanina, który w 1867 r., kiedy cały świat dążył do tej nowożytnej wieży Babel, ani razu nie odwiedził wystawy, twierdząc, że wszystkie te same okazy ma codziennie wystawione za witrynami sklepów.

Lecz dość dygresyi... wróćmy do Krakowa!

Mamy więc razem zwiedzać ów Rzym nadwiślański „o siedmdziesięciu kościołach“; owe nowożytne polskie Ateny: gród nauki i sztuki; mamy się przysłuchiwać zaklętym w jego murach głosom przeszłości, a zarazem badać pulsa dzisiejszego jego życia.

A tout Seigneur tout honneur: rozpocznijmyż więc przedewszystkiem od sędziwej katedry na Wawelu.

Na wielkiej arenie dziejów, na tej nie-

uchwytnej kanwie falujących bezustannie kategoryi czasu i przestrzeni, pojawiają się dwa różne narody: równo wybrane przedewszystkie, a mimo to tak ciężko doświadczane. Po wiekowej chwale i wielkości politycznej, następuje okres skupienia, pracy wewnętrznej ducha. Po bohaterach, cykl proroków i wieszczów; koroną jednych jest: Eliasz, Jeremiasz i Ezechiel, książętami drugich są: Mickiewicz, Krasiński, Słowacki... Analogia nie kończy się na tem. Wszystkie myśli, wszystkie pragnienia i nadzieje, cały zapas skoncentrowanego uczucia kieruje się u jednych i u drugich do dwóch świętych wzgórz, uwieńczonych wspomnieniami i relikwiami wieków. Dla jednych tem wzgórzem, tym rajem utraconym jest Syon ze świątynią na górze Moriah, dla drugich górzec Wawelu, z równie świętą przynajmniej jak dla nas, a piękniejszą i bogatszą świątynią, katedrą św. Wacława.

Wawel, katedra!... Czy jest co bardziej fonetycznie na słuch nasz działającego, jak te dwie sylaby: Wa-wel?... Czy jest dzwon od Odry po Niemen i dalej głośniej i dźwięczniej bijący nad dzwon Zygmunta?! Wawel, to dziesięć wieków zaklętych w kamień, bronz i marmur. Dziesięć wieków, które niestety nie patrzą na nas, bo nie mają co podziwiać, ale szepcą słowa zaklęcia. Wawel, słowo nie zrozumiałe, sfinksowa zagadka jak legenda Krakusa i Wandy, których tajemnica ukryta na łonie szerokiej słowiańszczyzny, słowiańszczyzny bratniej nie zamąconej jeszcze wpływami wschodu i zachodu! Ale odwróćmy wzrok nasz posmutniały od świeckich spraw Wawelu, od zamku Piastów i Jagiellonów; przestąpmy progi świątyni.

Widok zewnętrzny katedry, stanowiącej część integralną zamku i harmonizującej z jego zabudowaniami, imponuje wprawdzie wspaniałością, ale nie zadawalnia przyznać należy, wybredniejszego smaku estetyeznego i nie sprawia wrażenia wykończonej, w sobie zamkniętej całości. Historya tej świątyni wypisana na jej ścianach. Główny korpus w stylu ostrołukowym z XIV wieku datujący rozsiadł się poważnie, otoczony w około wieńcem kaplic, różnych dodatków i przystawków, odrębnego wieku i stylu. Najdawniejsza część, krypta św. Leonarda w stylu romańskim z dziesiątego wieku, ukryta w podziemiu. Wieżyce, o tak charakterystycznych u nas metalowych szczytach, nie strzelają śmiało w niebiosa, jak ich rówieśnice ostrołukowe, nie podnoszą wyobraźni jak piękna, słusznie koroną uwieńczona, wieżyca Maryacka. Jakże żałować przychodzi, że nieszczęśliwa niegdyś mania modernizowania pomników przeszłości, tak stylem a zatem i pięknością do maryackich podobne wieżyce Wawelu, które jeszcze na widokach z XVII w. widzimy*) tak nie do poznania zmieniwszy, a szczególniej południową obniżywszy i zeszpeciwszy, dotkliwie piękności i wdzięku świątyni naszej ujęły.

Fronton główny, jak cała świątynia budowany z ciosu, nie zatrzymuje oka pięknością owych rozet (rosace) o malowanych szybach, będących prawdziwym tryumfem stylu ostrołukowego; nie zadziwia bogactwem owych kamiennych koronek illustrujących tak żywo legendy średniowieczne. Jest poważny, imponuje swoją nagością, zbyt ścieśniony dwoma kaplicami naprzód wysuniętemi. Cały przepych zachowany na wewnątrz.

Ktokolwiek wychylił głowę po za granicę kraju, i danem mu było podziwianie stolic Europy, ten nie posądzi nas o egzageracyę, jeśli katedrę na Wawelu porównamy z jednym kościołem mogącym się z nią mierzyć,— z Westminster-Abbay.

Być może: analogie instytucyi, szeroko rozwinięte zamiłowanie swobód, indywidualizm rozwinięty do ostatecznych krańczyn, wpłynęły na to podobieństwo pomników; skrystalizowały się tak tu, jak i tam, w dwóch tych kamiennych kronikach, których, jak konstytucyi byłej Rzpltej i starej Anglii, nie było i nie ma dwóch drugich w Europie.

Co tamtej jednakże, oddzielonej niezdobytą fosą oceanu od zbyt niewygodnego sąsiedztwa, stanowi do dziś dnia wielkość, u nas było słabością. Westminster uosabnia stopniowy wzrost i rozwielmożenie się tak w politycznym jak i intellektualnym kierunku Wielkiej Brytanii; katedra na Wawelu maluje po chwilach wielkości i chwały, rozstrój i upadek; — po kaplicy Zygmuntów przybywa pomnik Sołtyka... (C. d. n.)

*) Między innymi: w monumentalnem dziele: „Kunstdenkmale von Krakau“ A. Essenweina tabl. XVIII.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ III.

Kilka waryacyi na stary znany temat o kometach świata słonecznego i innych.

Profesor Palmiryn Rosette, idąc za najlepszymi astronomami, w następny sposób określał komety:

Są to gwiazdy składające się z punktu środkowego, zwanego jądrem, części mglistej zwanej kosmotą i jasnego przedłużenia, zwanego ogonem. Gwiazdy te widzialne są przez mieszkańców ziemi tylko w jednej części swego przebiegu, z powodu wielkiego wydłużenia orbity, jaką zakreślają dokoła słońca.

Następnie Palmiryn Rosette nie omieszkiwał dodawać, że to określenie jego było ściśle dokładne, z tem wszakże nadmienieniem, że niebieskie te ciała mogą się obchodzić bądź bez ogona, bądź bez części mglistej, nie przestając, pomimo to, być kometami.

Miał także zwyczaj dodawać, idąc za astronomem Arago, że aby zasłużyć na piękną nazwę komety, gwiazda powinna: 1° być obdarzoną własnym ruchem; 2° zakreślać elipsę bardzo wydłużoną, a zatem oddalać się na taką odległość, z której nie może być widzialną ani ze słońca, ani z ziemi. Przy zachowaniu pierwszego warunku ciało niebieskie nie może być brane za jedno z gwiazdą, a drugi nie dozwala wziąć go za planetę. Owoż nie mogąc należeć do klasy meteorów, nie będąc gwiazdą, ciało niebieskie koniecznie musi zostać kometą.

Gdy profesor Palmiryn Rosette przemawiał w ten sposób z katedry, nie przypuszczał pewno, iż kiedyś uniesiony zostanie przez kometę w obszary świata słonecznego. Zawsze jednak do swych ciał niebieskich, ogoniastych czy bezogonowych, miał szczególną predylekcyę. Być może, iż przeczuwał, co go czeka w przyszłości? Bo ogromnie był biegły w kometografii. Znalazłszy się na Formenterze, żałował zapewne, iż nie ma pod ręką audytoryum, gdyż bezzwłocznie rozpocząłby odczyt o kometach i traktowałby tę rzecz w porządku następującym:

1° Jaka jest ilość komet w przestrzeni?

2° Które komety są peryodyczne, to jest powracające w czasie określonym, a które nieperyodyczne?

3° Jakie jest prawdopodobieństwo potrącenia ziemi przez kometę?

4° Jakie mogą być skutki potrącenia stosownie do tego, czy kometa ma jądro twarde lub nie?

Odpowiedziawszy na te cztery pytania Palmiryn Rosette, zadowolniłby niezawodnie najbardziej wymagających słuchaczów.

Właśnie czyni to w obecnym rozdziale.

Pytanie pierwsze: Jaka jest ilość komet?

Kepler utrzymywał, że komety są tak liczne w przestrzeni, jak ryby w morzu.

Arago, opierając się na ilości tych ciał niebieskich krążących między Merkurym a słońcem, podawał na siedmnaście milionów ilość tych, które unoszą się tylko w granicach świata słonecznego.

Lambert mówi, że komet jest pięćset milionów tylko do Saturna, to jest w promieniu trzystu sześćdziesięciu czterech milionów mil.

Inne wyrachowania dały siedmdziesiąt cztery miliony miliardów komet.

Prawdą jest, iż nie znamy ilości tych ciał niebieskich, że nie zliczono ich i nigdy niezliczą, wiemy tylko, że jest ich bardzo wiele. Rozszerzając dalej porównania Keplera, można powiedzieć, że rybak, siedzący na słońcu, nie mógłby zarzucić wędki, nie zaczepiwszy o kometę.

To jeszcze nie wszystko. Przestrzeń przebiega wiele jeszcze innych komet, nie będących pod wpływem słońca. Są między nimi takie wagabundy, tak nieregularne, iż rzucają kapryśnie jedno centrum przyciągające i przenoszą się w drugie. Zmieniają świat słoneczny z godną ubolewania łatwością; jedne przedtem wcale niewidzialne, ukazują się na horyzoncie ziemskim, inne znikają na zawsze.

Ale wracając do komet, należących rzeczywiście do świata słonecznego, czy mają też one przynajmniej stałe orbity, których nic zmienić nie może i które zatem uniemożebniają wszelkie zetknięcie się bądź z innymi kometami, bądź z ziemią? Nie! Orbity te nie są zabezpieczone od wpływów postronnych. Z eliptycznych mogą stać się parabolicznemi lub hyperbolicznemi. Jowisz naprzykład jest jednym z największych psotników orbit. Astronomowie zauważyli, że znajduje się on zawsze prawie na wielkiej drodze komet i na słabe te ciała wywiera wpływ mogący być dla nich zgubnym, ale który wyjaśnia jego siła przyciągająca.

Takim jest w ogólnych zarysach świat komet, liczący miliony tych ciał niebieskich.

Pytanie drugie: Które komety są peryodyczne, a które nie?

Przebiegając pamiętniki astronomiczne, znajdujemy około sześciuset komet, które były przedmiotem poważnych spostrzeżeń w rozlicznych epo-

kach. Ale w tej liczbie nie masz więcej nad czterdzieści takich, których czas obrotu jest dokładnie znany.

Czterdzieści tych ciał dzieli się na komety peryodyczne i nieperyodyczne. Pierwsze ukazują się na horyzoncie ziemskim po upływie dłuższego lub krótszego czasu, ale prawie regularnie. Drugie, których powrót nie może być wskazany, oddalają się od słońca do odległości prawdziwie nie dającej się wymierzyć.

W liczbie komet peryodycznych znajduje się dziesięć o tak zwanych „krótkich okresach," a których ruch obrachowany jest z nadzwyczajną dokładnością. Są to komety Halleya, Enche, Gambarta, Faye, Brörsena, Arresta, Tuttle, Wienecke, Vico i Temple.

Niezawadzi tu opowiedzieć w kilku słowach ich historyę, tembardziej, że jeden z nich postąpił sobie z kulą ziemską zupełnie tak, jak to uczyniła Galia.

Kometa Halleya znanym jest najdawniej. Przypuszczają, że był widzialnym w roku 134 i 52 przed Chrysrusem, potem w latach 400, 855, 930, 1006, 1230, 1305, 1380, 1456, 1531, 1607, 1682, 1795 i 1835. Porusza się on od wschodu na zachód dokoła słońca, to jest w kierunku odwrotnym w porównaniu z planetami. Odstępy czasu, oddzielające ukazywanie się jego, wynoszą od siedmdziesięciu pięciu do siedmdziesięciu sześciu lat, stosownie do tego czy mniej lub więcej przeszkadzało mu w ruchu sąsiedztwo Jowisza lub Saturna; opóźnienie to może wynosić przeszło sześćset dni. Znakomity Herschell, umieściwszy się na przylądku Dobrej Nadziei, podczas ukazania się tego komety w r. 1835 i w lepszych warunkach, aniżeli astronomowie półkuli północnej, mógł śledzić go do końca marca 1836 r., to jest do chwili, gdy wielka odległość od ziemi uczyniła go niewidzialnym. W swem perihelium kometa Halleya przechodzi o dwadzieścia dwa miliony mil od słońca; w afelium oddala się na tysiąc trzysta milionów mil.

Kometa Enche obrót swój wykonywa w okresie najkrótszym, gdyż okres ten liczy średnio tylko tysiąc dwieście pięć dni, to jest mniej niż półczwarta roku. Porusza się w kierunku prostym od zachodu na wschód. Odkryty został w r. 1818 dnia 26. listopada, a po wyrachowaniu jego elementów przekonano się, iż jest to ten sam kometa, który był widzianym w r. 1805. Jak przepowiedzieli astronomowie, widziano go w latach 1822, 1825, 1829, 1832, 1835, 1838, 1842, 1845, 1848, 1852 itd.; zawsze ukazywał się na horyzoncie ziemskim w epokach określonych. Orbita jego zawiera się w orbicie Jowisza. Nie oddala się zatem od słońca więcej, jak o sto pięćdziesiąt sześć milionów mil, a przybliża się na trzynaście milionów. Ważne spostrzeżenie: zauważano, że wielka średnica orbity eliptycznej tego komety zmniejsza się stopniowo i że zatem odległość jego od słońca zmniejsza się również. Prawdopodobnie więc skończy się na tem, że kometa Enche spadnie na promienistą gwiazdę, która go pochłonie, jeżeli przedtem nie ulotni się z powodu wielkiego gorąca.

Kometa Gambarta, czyli Biela, widzialny był w latach 1772, 1789, 1795 i 1805, ale dopiero 28go lutego 1826 roku określono jego elementa. Kierunek ma prosty. Obrót jego trwa dwa tysiące czterysta dziesięć dni, około siedmiu lat. W perihelium swem przechodzi on o trzydzieści dwa miliony siedmset dziesięć mil od słońca, to jest cokolwiek bliżej od ziemi: w afelium oddala się na dwieście trzydzieści pięć milionów trzysta siedmdziesiąt mil, to jest po za orbitą Jowisza. W roku 1846 wydarzył się ciekawy fenomen. Kometa Biela ukazał się w dwóch kawałkach na ziemskim horyzoncie. Zdwoił się w drodze, zapewne wskutek działania siły wewnętrznej. Dwa kawały wędrowały razem w odległości sześćdziesięciu tysięcy mil jeden od drugiego; ale w r. 1852 odległość ta wynosiła już pięćset tysięcy mil.

Kometa Faye dostrzeżony był po raz pierwszy 22. listopada 1843 r. Elementa orbity jego obliczono i przepowiedziano, że powróci w r. 1850 i 1851 po upływie półosma roku. Przepowiednia sprawdziła się: kometa ukazał się we wskazanej chwili i w dalszych epokach, przeszedłszy o sześćdziesiąt cztery miliony sześćset pięćdziesiąt mil od słońca i oddaliwszy się od niego na dwieście dwadzieścia sześć milionów pięćset sześćdziesiąt tysięcy mil, to jest dalej aniżeli Jowisz.

Kometa Brörsena, o kierunku prostym, odkryty został 20. lutego 1846 r. Ruch swój wykonywa w ciągu półszosta roku. Jego odległość perihelicznа wynosi dwadzieścia cztery miliony sześćset czternaście tysięcy mil, afeliczna dwieście szesnaście milionów.

Co do innych komet o krótkim okresie, to kometa Arresta dopełnia ruchu w czasie nieco dłuższym nad półsiodma roku i w r. 1862 przechodził w odległości tylko jedynastu milionów mil od Jowisza. Kometa Tuttle porusza się w trzynastu przeszło latach; Winecka w półszosta roku, Templa w tym samym prawie przeciągu czasu, a Vico zdaje się, że zabłądził w przestworach niebieskich. Ale ciała te nie były przedmiotem spostrzeżeń tak wyczerpujących, jak pięć komet wyżej wymienionych.

Teraz należy wyliczyć główne komety o „długich okresach," z których czterdzieści zostało zbadanych z większą lub mniejszą dokładnością.

Kometa z r. 1556, zwany kometą Karola Piątego, oczekiwany około roku 1860, nie ukazał się.

Kometa z r. 1680, badany przez Newtona, a który według Whistona sprawiłby potop, gdyby zanadto przybliżył się do ziemi, widzialny był w r. 619 i 43 przed Chrystusem, potem w r. 530 i 1106. Obrót jego wynosiłby sześćset siedmdziesiąt pięć lat; w perihelium swem przechodzi tak blisko słońca, iż otrzymuje od niego dwadzieścia ośm tysięcy razy silniejsze ciepło aniżeli ziemia, to jest temperaturę dwa tysiące razy większą, aniżeli temperatura roztopionego żelaza.

Kometę z r. 1856 pod względem blasku możnaby przyrównać do gwiazdy pierwszej wielkości.

Kometa z roku 1744, włóczył za sobą kilka ogonów.

Kometa z r. 1811, który nadał swą nazwę rokowi, w którym się ukazał, posiadał pierścień mający sto siedmdziesiąt jedną milę średnicy, mglistość rozciągającą się na czterysta pięćdziesiąt mil i ogon na czterdzieści pięć milionów.

Kometa z r. 1843, którego jak mniemano, należy poczytywać za jedno z kometą z r. 1668, 1494 i 1317 obserwowany był przez Cassini'ego, ale astronomowie wcale nie są zgodni co do czasu trwania jego obrotu. Przechodzi on tylko o dwanaście tysięcy mil od słońca, z szybkością piętnastu tysięcy mil na sekundę. Ciepło, które wskutek tego otrzymuje, równa się zatem takiemu, jakieby czterdzieści siedm tysięcy słońc spuszczało na ziemię. Ogon jego widzialny był nawet wśród dnia, tak ta straszliwa temperatura zwiększała jego gęstość.

Kometa Donati, który tak świetnie błyszczał w pośród konstelacyj północnych, ma masę dorównywującą siedmiu setnym częściom masy ziemi.

Kometa z r. 1862, ozdobiony jasnemi wisiorami, podobny był do fantastycznej muszli.

Nakoniec kometa z r. 1864, którego ruch odbywa się w ciągu dwóch tysięcy ośmiuset wieków, ginie, że tak powiemy, w nieskończonej przestrzeni.

Pytanie trzecie: Jakie jest prawdopodobieństwo zetknięcia się ziemi z którymkolwiek z komet?

Jeżeli nakreślimy na papierze orbity planet i komet, to ujrzymy, że przecinają się one w wielu punktach. Inaczej wszakże dzieje się ta rzecz w przestrzeni. Poziomy, obejmujące te orbity, nachylone są pod rozmaitemi kątami w stosunku do ekliptyki, będącej poziomem orbity ziemi. Pomimo to jednak, czy nie może wydarzyć się, przy takiej ilości komet, że jeden z nich potrąci o ziemię?

Oto co na to można odpowiedzieć:

Ziemia, jak wiadomo, nie wychodzi nigdy z poziomu ekliptyki i orbita zakreślana przez nią do koła słońca, cała zawiera się w tym poziomie.

Czego zatem potrzeba, by ziemia potrącona została przez kometę?

1) Potrzeba by kometa ten spotkał się z nią na poziomie ekliptyki;

2) ażeby punkt, który kometa przechodzi w tej chwili, był punktem krzywizny zakreślonej przez ziemię;

3) ażeby odległość oddzielająca centra dwóch ciał niebieskich, mniejszą była aniżeli ich promień.

Owóż czy te trzy warunki mogą nastąpić jednocześnie, i co za tem idzie, spowodować zetknięcie?

Arago, zapytywany o zdanie w tym przedmiocie — odpowiedział:

„Rachunek prawdopodobieństwa daje środki do określenia podobnych spotkań i przekonywa, że przy pojawieniu się komety nieznanego, można założyć się o dwieście ośmdziesiąt milionów przeciw jednemu, że kometa ten nie potrąci kuli ziemskiej."

Laplace nie odrzucał możebności podobnego spotkania i wyniki jego opisał w swoim *wykładzie systemu świata*.

Czy szanse te są dostatecznie uspokajające? Każdy rozwiąże to według swego temperamentu. Zresztą należy zauważyć, że wyrachowanie znakomitego astronoma opiera się na dwóch żywiołach, mogących zmieniać się w nieskończoność. Żąda on mianowicie: 1, by kometa w swem perihelium był więcej zbliżony do słońca aniżeli ziemia; 2, ażeby średnica tego komety równała się czwartej części średnicy ziemi.

I jeszcze w rachunku tym chodzi tylko o spotkanie się jądra komety z kulą ziemską. Gdyby chciano wyrachować szanse spotkania się z częścią mglistą, to należałoby cyfrę powiększyć, to jest dwieście ośmdziesiąt milionów pomnożyć na dziesięć.

Ale pozostając w granicach pierwszego zadania, Arago dodaje:

„Przypuśćmy na chwilę, że kometa który potrącił ziemię, zniszczył cały ród ziemski; natenczas niebezpieczeństwo śmierci, wynikające dla każdego indywiduum, zupełnie byłoby równem szansie, jakaby istniała, gdyby wurnie znajdowała

się jedna gałka biała między dwóchset ośmdziesięcią milionami gałek czarnych i śmierć była nieuniknionym wynikiem wyjęcia tej gałki białej, przy pierwszem sięgnięciu".

Ze wszystkiego tego wynika, że niemasz żadnej niemożebności, by ziemia nie była potrącona przez kometę.

Czy zdarzyło się to kiedy?

Nie, odpowiadają astronomowie, „od czasu jak ziemia obraca się na swej osi niezmiennej, mówi Arago, z pewnością twierdzić można, iż nie spotkała się z kometą. Bo w samej rzeczy wskutek takiego dawniejszego uderzenia się, chwilowa oś rotacyi zastąpiłaby oś główną i szerokości ziemskie znalazłyby się podległe ciągłym zmianom, których spostrzeżenia nie zanotowały. Nieruchomość szerokości ziemskich przekonywa zatem, że kula nasza od samego swego początku nie była potrącona przez kometę... A zatem również nie podobna ściśnienia ziemi na sto metrów poniżej poziomu Oceanu, co wytworzyło morze Kaspijskie, przypisywać uderzeniu komety, jak to uczynili niektórzy uczeni."

Zdaje się zatem pewnem, że uderzenia nie było w przeszłości; ale czy mogło nastąpić?

Tu naturalnie występuje wypadek Gambarta.

W r. 1832 nowe ukazanie się komety Gambarta wywołało w całym świecie pewną trwogę. Szczególny dość fenomen kosmograficzny sprawił, że orbita tego komety przecina prawie orbitę ziemi. Owoż 29 października przed północą kometa powinien był przechodzić bardzo blisko jednego punktu orbity ziemi. Czy ziemia znajdzie się tam w tejże samej chwili. Gdyby się znalazła, nastąpiłoby spotkanie, ponieważ według spostrzeżeń Olbersa z powodu długości promienia komety, jako równej pięciu promieniom ziemi, część orbity ziemskiej byłaby zatopiona w części mglistej.

Na szczęście ziemia doszła do tego punktu ekliptyki dopiero w miesiąc potem, 30 listopada, a ponieważ ożywiona jest przenośnym ruchem na sześćset siedmdziesiąt cztery tysiące mil dziennie, więc gdy przechodziła tamtędy, kometa znajdował się już w odległości dwudziestu milionów mil.

Bardzo dobrze. Ale gdyby ziemia przybyła na ten punkt swojej orbity o miesiąc wcześniej, albo kometa o miesiąc później, spotkanie nastąpiłoby. Owoż czy fakt ten mógł się wydarzyć? Naturalnie, że mógł, gdyż jeżeli nie można przypuszczać, by jakakolwiek zmiana zaszła w ruchu sferoida ziemskiego, to nikt nie ośmieli się utrzymywać, by ruch komety nie mógł być spóźniony, zważywszy, że te ciała niebieskie podlegają tylu i tak niebezpiecznym wpływom na swej drodze.

Więc jeżeli potrącenie nie zaszło w przeszłości, to jednak pewna, że zajść mogło.

Zresztą wymieniony wyżej kometa Gambarta w r. 1805 przechodził już dziesięć razy bliżej ziemi, o dwa miliony mil tylko. Ale ponieważ nie wiedziano o tem, więc trwogi nie było. Nie tak rzecz się miała z kometą z r. 1843, ponieważ obawiano się wtedy, by kula ziemska nie znalazła się przynajmniej w przestworzu jego ogona, co mogłoby oddziałać na atmosferę.

Pytanie czwarte: Przypuściwszy, że może nastąpić zetknięcie się między ziemią a kometą, jakie by były skutki tego?

Byłyby rozmaite, stosownie do tego, czy kometa potrącający miałby jądro, czy też nie.

W samej rzeczy z niesfornych tych ciał niebieskich jedne mają jądro, inne są go pozbawione.

Gdy kometom brak jądra, utworzone są one z mgły tak delikatnej, że przez ich masę można dostrzedz gwiazdy dziesiątej wielkości. Ztąd pochodzą zmiany kształtów, jakim często podlegają te ciała niebieskie i trudność w ich rozpoznaniu. Taż sama subtelna materya wchodzi w skład ich ogona. Jestto jakby ewaporacya samego komety, powstająca wskutek wpływu ciepła słonecznego. Dowodzi tego fakt, że ogon ten poczyna rozwijać się bądź jako pęk piór, bądź jako wieloramienny wachlarz, dopiero wtedy, gdy kometa znajduje się nie więcej jak w odległości trzydziestu milionów mil od słońca, odległości mniejszej aniżeli ta, która oddziela je od ziemi. Zresztą zdarza się często, iż niektóre komety, widocznie utworzone z materyi gęściejszej, więcej podlegającej wpływowi wysokich temperatur, nie przedstawiają żadnego dodatku tego rodzaju.

W razie, gdyby spotkanie nastąpiło między kulą ziemską a kometą bez jądra, nie byłoby uderzenia we właściwem znaczeniu tego wyrazu. Astronom Faye utrzymuje, że pajęczyna przedstawiłaby więcej oporu kuli karabinowej, aniżeli mglistość planetarna. Jeżeli materya tworząca ogon, lub włosy komety, nie jest niezdrową, to nie byłoby z tej strony żadnej obawy. Ale oto czego możnaby obawiać się: że albo wyziewy dodatku komety będą rozpalone, a w takim razie spalą wszystko na powierzchni kuli ziemskiej, albo też wprowadzą w atmosferę żywioły gazowe, niewłaściwe dla życia. Wszakże trudno przypuszczać, by to ostatnie urzeczywistniło się. Według Babineta atmosfera ziemska, pomimo, że bardzo rozrzadzona na wyższych swych granicach, posiada jednak gęstość bardzo znaczną w porównaniu z mglistością i innemi dodatkami komet i nie dałaby się przeniknąć. Taka jest bowiem rzadkość tych wyziewów, iż Newton mógł twierdzić, że gdyby kometa bez jądra, o promieniu na trzysta sześćdziesiąt pięć milionów mil, podniesiony został do gęstości atmosfery ziemskiej, to cały mógłby się zawrzeć w naparstku mającym dwadzieścia pięć milimetrów średnicy.

A zatem co do komet o zwykłej mglawistości, to nie ma co obawiać się ich spotkania z ziemią. Ale coby się stało, gdyby ciało to posiadało jądro twarde?

A naprzód, czy istnieje takie jądro? Odpowiedzą, że powinno istnieć, gdy kometa doszedł do pewnego ześrodkowania się wystarczającego na to, by ze stanu gazowego przeszedł w stan zgęszczony. W takim razie, jeżeli stanie między gwiazdą a spostrzegaczem na ziemi, to gwiazdę zasłania.

Otóż zdaje się, że na czterysta ośmdziesiąt lat przed Chrystusem, za czasów Kserksesa, według Anaksagora słońce zaciemnione było kometą. Także na kilka dni przed śmiercią Augusta, Dion robił spostrzeżenia nad zaćmieniem tego rodzaju, które nie mogło być przypisane księżycowi, ponieważ w dniu tym księżyc znajdował się w stronie przeciwnej.

Nadmienić jednak należy, że kometografowie odrzucają te dwa świadectwa — i może słusznie. Ale dwa spostrzeżenia późniejsze nie pozwalają wątpić o istnieniu jąder kometowych. Komety z r. 1774 i 1828 spowodowały zasłonięcie gwiazd ósmej wielkości. Przypuszcza się, również wskutek bezpośrednich spostrzeżeń, że komety z lat 1402, 1532, 1744 mają jądra twarde. Co do komety z r. 1843, to fakt jest tem dowodniejszy, że ciało to można było widzieć w południe koło słońca bez pomocy żadnego instrumentu.

Twarde jądra nie tylko posiadają pewne komety, ale je nawet wymierzono. Tak znaną jest rzeczywista średnica, wynosząca około dwunastu mil, komet z r. 1798 i 1805 (Gambart), i średnica na trzy tysiące dwieście mil komety z r. 1845. Ten ostatni miałby zatem jądro większe aniżeli ziemia, tak, że w razie spotkania, korzyść możeby się znalazła po stronie komety.

Co do niektórych ważniejszych mgławistości, które były wymierzone, to znaleziono, iż te od siedmiu tysięcy dwóchset mil dochodzą do czterechset pięćdziesięciu.

Na zakończenie należy powiedzieć wraz z astronomem Arago, że istnieją, lub mogą istnieć:

1) komety bez jądra;

2) komety, których jądro może być przejrzyste;

3) komety świetniejsze, aniżeli planety, mające prawdopodobnie jądro twarde i ciemne.

A teraz nim się zastanowimy nad tem, jakie byłyby skutki spotkania się ziemi z jednem z tych ciał niebieskich, zauważyć należy, iż w razie gdyby nawet nie zaszło uderzenie bezpośrednie, wyniknąćby mogły fenomena najważniejsze.

Przejście komety w niewielkiej odległości, w razie gdyby masa jego była znaczniejszą, nie byłoby bez niebezpieczeństwa. Przy mniejszej masie nie masz żadnej obawy. Tak kometa z r. 1770, który przybliżył się do ziemi na sześćkroćstotysięcy mil, ani na jednę sekundę nie zmienił długości roku ziemskiego, podczas gdy wpływ ziemi opóźnił o dwa dni ruch tego komety.

Ale w razie gdyby masa obu ciał była równą, gdyby kometa przechodził tylko o pięćdziesiąt pięć tysięcy mil od ziemi, to przedłużyłby trwanie roku ziemskiego o szesnaście godzin i pięć minut i zmieniłby o dwa stopnie zagięcie ekliptyki. Być może także, iż przechodząc pochwyciłby księżyc.

Nakoniec jakie byłyby wyniki zetknięcia? Zaraz zobaczymy.

Albo kometa, dotykając tylko kuli ziemskiej, pozostawiłby na niej kawałek własnego ciała, albo też wyrwałby kawałek ziemi — co właśnie stało się z Galią — albo też przyłączyłby się do niej i utworzyłby na powierzchni kontynent nowy.

W każdym razie szybkość ruchu ziemi byłaby nagle wstrzymana. Natenczas wszystkie istoty, drzewa, domy, rzucone byłyby z szybkością ośmiu mil na sekundę, jakową szybkość miały przed uderzeniem. Morza wyrwałyby się ze swych łożysk naturalnych i wszystko zniszczyłyby. Środkowa część ziemi, jeszcze płynna, wyrwałaby się na powierzchnię. Oś ziemska zmieniłaby się, nowy równik zastąpiłby dotychczasowy. Nakoniec szybkość kuli ziemskiej mogłaby być stanowczo zahamowaną i co za tem idzie, siła przyciągająca słońca nie będąc przeciwważoną, sprawiłaby, że ziemia spadłaby na nie w linii prostej i zabsorbowała się w niem, po spadaniu przez sześćdziesiąt cztery dni i pół.

A nawet, zastosowując teoryę Tyndalla, że gorąco jest tylko rodzajem ruchu, gdyby szybkość kuli ziemskiej nagle została przerwaną, mechanicznie przeistoczyłaby się w ciepło. Natenczas ziemia, pod wpływem temperatury dochodzącej do milionów stopni, ulotniłaby się w kilka sekund.

Ale, dodamy na zakończenie, jest dwieście ośmdziesiąt milionów szans przeciw jednemu, iż spotkanie się ziemi z jakimkolwiek kometą nie nastąpi.

— Tak jest, bez wątpienia—mawiał później Palmiryn Rosette—ale wyciągnęliśmy białą gałkę.

ROZDZIAŁ IV.

W którym Palmiryn Rosette jest tak zachwycony swym losem, iż to daje wiele do myślenia.

„Mój kometa!“ — takie były ostatnie słowa profesora. Potem zmarszczywszy brwi, spojrzał na swych słuchaczów, jak gdyby ktoś z nich chciał mu zaprzeczać prawa własności do Galii. Może nawet zapytywał sam siebie, z jakiego tytułu te intruzy zgromadzone dokoła niego, ulokowały się w jego posiadłościach.

Kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop milczeli. Znali nakoniec prawdę, do której dotąd zdołali tylko się przybliżyć. Przypominamy sobie hypotezy kolejno tworzące się po dyskusyach: naprzód zmianę obrotowej osi ziemi i dwóch punktów kardynalnych; potem kawał oderwany od kuli ziemskiej i uniesiony w przestrzeni; nakoniec nieznanego kometę, który, dotknąwszy ziemi, uniósł kilka jej części może w świat gwiazdzisty.

Przeszłość była znaną; teraźniejszość widoczna. Jaką będzie przyszłość? Czy oryginalny ten uczony przeczuł ją? Hektor Servadac i towarzysze jego wahali się go zapytać.

Palmiryn Rosette, przybrawszy profesorską minę, zdawał się czekać na to, by ludzie nieznani, zgromadzeni w sali wspólnej, zostali mu przedstawieni.

Hektor Servadac przystąpił do ceremonii, ażeby nie drażnić podejrzliwego i kapryśnego astronoma.

— Hrabia Timaszew — rzekł przedstawiając swego towarzysza.

— Miło mi powitać pana hrabiego — odrzekł Palmiryn Rosette tonem właściciela domu, czującego się u siebie.

— Panie profesorze — powiedział hrabia — właściwie niewłasnowolnie znalazłem się na komecie pana, nie mniej jednak powinienem podziękować panu, że przyjmujesz mnie tak gościnnie.

Hektor Servadac, czując ironię odpowiedzi, uśmiechnął się lekko i mówił dalej:

— Porucznik Prokop, dowodzący galiotą *Dobryna*, na której objechaliśmy świat galicki.

— Objechali? — zawołał żywo profesor.

— Wyraźnie objechali — odrzekł kapitan Servadac.

Potem dodał:

— Ben-Zuf, mój ordyn...

— Adjutant generalnego gubernatora Galii, pospieszył dodać Ben-Zuf, który nie chciał by pominiętą została nowa jego i kapitana kwalifikacya.

Następnie przedstawieni zostali kolejno majtkowie *Dobryny*, Hiszpanie, młody Pablo i mała Nina, na którą profesor spojrzał przez okulary okiem gderacza, nie lubiącego małych dzieci.

Co do Izaaka Hakhabuta, to ten podszedł mówiąc:

— Panie astronomie! jedno pytanie, jedno, ale do którego ja przywiązuję wielką wagę... kiedy możemy mieć nadzieję powrotu?...

— Eh! — odrzekł profesor — kto mówi o powrocie? Zaledwie wyjechaliśmy!

Po ukończeniu przedstawień, Hektor Servadac prosił Palmiryna Rosette, by opowiedział swoją historyę.

Historyę tę można streścić w kilku wierszach.

Rząd francuski, chcąc sprawdzić wymiary paryskiego południka, zamianował w tym celu komisyę naukową, do której jednak nie wszedł Palmiryn Rosette, z powodu swej nietowarzyskości. Rozgniewany Palmiryn Rosette postanowił tedy pracować na własny swój rachunek. Utrzymując, że poprzednie operacye geodezyjne zawierały niedokładności, postanowił ponownie sprawdzić wymiary ostatnich kończyn Formentery i brzegów Hiszpanii za pomocą trójkąta, którego jeden bok miał czterdzieści mil długości. Pracy tej dokonali przed nim Arago i Biot z wielką ścisłością.

Więc Palmiryn Rosette opuścił Paryż, udał się na wyspy Balearskie, umieścił swe obserwatoryum na najwyższym szczycie wyspy i ulokował się w nim, jak pustelnik, ze swym służącym Józefem, podczas gdy jeden z dawnych jego pomocników, umyślnie w tym celu zaangażowany, urządził znowu na jednym szczycie na wybrzeżu hiszpańskim światło, które mogło być widziane przez lunetę z Formentery. Kilka książek, instrumenta do obserwacyi, żywność na dwa miesiące, składały cały materyał, nie licząc lunety astronomicznej, z którą Palmiryn Rosette nigdy się nie rozstawał i która zdawała się stanowić część jego samego. Bo były profesor miał pasyę szperania po głębiach niebieskich i nadzieję zrobienia tam jakiegoś odkrycia, które unieśmiertelni jego nazwisko. To było jego marzeniem.

Praca Palmiryna Rosette wymagała przedewszystkiem nadzwyczajnej cierpliwości. Co nocy powinien był on pilnować ognia, który pomocnik jego rozniecał na wybrzeżu hiszpańskiem, ażeby oznaczyć wierzchołek swego trójkąta, a nie zapomniał o tem, że w takich warunkach upłynęło sześćdziesiąt dni nim Arago i Biot zdołali ten cel osiągnąć. Na nieszczęście, jak było powiedziane, niezwykle gęsta mgła osłoniła nie tylko tę część Europy, ale całą prawie kulę ziemską.

Otóż właśnie w tych okolicach wysp Balearskich kilkakrotnie tworzyły się przerwy w masie mgły. Należało zatem bardzo się pilnować — co jednak nie przeszkadzało Palmirynowi Rosette rzucać badawczy wzrok na firmament, ponieważ zajmował się wtedy rewizyą mapy tej części nieba, na której zarysowuje się konstelacya Bliźniąt.

Konstelacya ta dla gołego oka przedstawia co najwięcej sześć gwiazd; ale przez teleskop mający dwadzieścia siedm centymetrów otworu, dostrzedz ich można przeszło sześć tysięcy. Palmiryn Rosette nie posiadał reflektora tej siły i w braku czegoś lepszego posługiwał się swą lunetą astronomiczną.

Tymczasem, pewnego dnia, rozglądając się po niebieskich głębiach konstelacyi Bliźniąt, zdaje mu się, że dostrzegł punkt jaśniejący, nie zanotowany na żadnej mapie. Była to bezwątpienia gwiazda nie skatalogowana. Ale robiąc nad nią pilne spostrzeżenia przez kilka nocy, profesor przekonał się, że pomienione ciało niebieskie bardzo szybko zmieniało miejsce w stosunku do innych ciał stałych. Czy był to jaki nowy mały kometa, którego mu zsyłał Bóg astronomów? Czy zrobił nakoniec odkrycie?

Palmiryn Rosette podwoił uwagę i szybkość zmiany miejsca ciała niebieskiego przekonała go, że jestto kometa. Wkrótce zresztą stała się widzialną i mglistość, potem rozwinął się ogon, gdy kometa znalazł się w odległości tylko trzydziestu milionów mil od słońca.

Wyznać trzeba, że od tej chwili wielki trójkąt został całkiem zaniedbany. Co nocy pomocnik Palmiryna Rosette zapalał sumiennie ogień na wybrzeżu hiszpańskiem, a żadnej nocy Palmiryn Rosette nie spojrzał nawet w tę stronę. Szkła i oczy miał tylko dla nowego ciała niebieskiego, które zamierzył zbadać i nazwać. Żył wyłącznie w tym zakątku nieba, który Bliźnięta zajmują.

Chcąc obliczyć elementa komety, zaczyna się zawsze od przypuszczenia, że ciało to ma orbitę paraboliczną. Jestto najlepszy sposób postępowania. Komety zwykle ukazują się w sąsiedztwie swego perihelium, tojest w najkrótszej swej odległości od słońca, zajmującego jeden z centrów orbity. Owoż między elipsą a parabolą, których środek jest wspólny, różnica nie jest zbyt wielką w tej części krzywizny, ponieważ parabola jest tylko elipsą o osi nieskończonej.

Palmiryn Rosette oparł więc swe wyrachowania na przypuszczeniu krzywizny parabolicznej i tym razem miał słuszność.

Jak dla określenia koła potrzeba znać trzy punkta jego obwodu, tak samo dla określenia elementow komety trzeba robić spostrzeżenia kolejno na trzech rozlicznych punktach. Natenczas można nakreślić drogę jaką ciało to pójdzie w przestrzeni i ustanowić tak zwane jego „efemerydy.“

Palmiryn Rosette nie poprzestał na trzech pozycyach. Korzystając z tego, iż mgła rozdarła się wyjątkowo u zenitu, zanotował punktów dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści i z wielką dokładnością otrzymał pięć elementów nowego komety, który posuwał się z przerażającą szybkością.

Tym sposobem otrzymał:

1. Nachylenie się orbity komety na ekliptyce, to jest na przestrzeni obejmującej linię ruchu ziemi dokoła słońca. Zwykle kąt, jaki pochyłości te tworzą, jest dość znaczny — co, jak wiadomo, zmniejsza szanse spotkania się. Ale w wypadku obecnym obie pochyłości zlewały się.

2. Długość wstępnej drogi komety na ekliptyce, inaczej zwaną punktem, w którym to ciało przecina orbitę ziemi.

Po otrzymaniu dwóch tych elementów pochyłość orbity komety w przestrzeni została określoną.

3. Kierunek wielkiej osi orbity otrzymany został przez wyrachowanie długości perihelium komety i tym sposobem Palmiryn Rosette otrzymał położenie krzywizny parabolicznej na pochyłości już określonej.

4. Odległość perihelium komety, to jest odległość oddzielającą go od słońca, gdy przechodzi w punkcie najbliższym — rachunek ten ostatecznie dał dokładną formę orbity parabolicznej.

5. Nakoniec kierunek ruchu komety. Ruch ten był wsteczny w stosunku do planet, to jest kometa poruszał się ze wschodu na zachód.

Po poznaniu tych pięciu elementów, Palmiryn Rosette wyrachował datę, w której kometa przejdzie przez swe perihelium. Potem, ku wielkiej swej radości sprawdziwszy, że byłto kometa nieznany, nadał mu imię Galii, po pewnem wahaniu się między nazwami Palmira i Rozeta — i wziął się do układania sprawozdania.

Zapyta kto, czy profesor przekonał się o możebności zetknięcia się ziemi z Galią? Przekonał się najzupełniej, że zetknięcie to jest nie tylko możebnem, ale pewnem.

Powiedzieć, że był tem zachwycony — to za mało. Było to upojenie astronomiczne. Tak jest! ziemia zostanie potrącona w nocy z 31 grudnia na 1 stycznia, a potrącenie to będzie tem straszliwsze, z powodu, że dwa ciała niebieskie poruszają się w kierunku przeciwnym!

Inny, przestraszony, opuściłby natychmiast Formenterę. On pozostał na swem stanowisku. Nie tylko nie opuścił wyspy, ale i nic nie powiedział o swem odkryciu. Gazety doniosły mu, że

gęsta mgła uniemożebniała wszelkie spostrzeżenia na obu kontynentach, a ponieważ żadne obserwatoryum nie sygnalizowało nowego komety, była więc podstawa do twierdzenia, że on go odkrył w przestrzeni.

Okoliczność ta zaoszczędziła ziemi ogromnej trwogi, któraby niezawodnie opanowała jej mieszkańców, gdyby znali niebezpieczeństwo, jakie im zagrażało.

Tak więc jeden tylko Palmiryn Rosette wiedział, że nastąpi spotkanie między ziemią a tym kometą, którego mógł dostrzedz z wysp Balearskich, podczas gdy wszędzie ukrywał się on przed oczyma astronomów.

Więc profesor pozostał na Formenterze i z tem mocniejszem postanowieniem, iż kometa, według jego wyrachowań powinien był uderzyć o ziemię w południowej stronie Algieryi. Otóż chciał tam znajdować się, ponieważ kometa miał jądro twarde, a zatem mogło to być „bardzo ciekawe.“

Uderzenie nastąpiło ze wszystkimi skutkami znanymi już. Ale oto co się stało: Palmiryn Rosette nagle został pozbawiony sługi swego Józefa! A gdy przyszedł do siebie po dość długiem zemdleniu, znalazł się sam na wysepce! Tyle tylko pozostało z całego Balearskiego archipelagu!

Taką była historya opowiedziana przez profesora z mnóstwem wykrzykników i zmarszczeń czoła, bynajmniej nie usprawiedliwionych grzeczną postawą słuchaczów. Skończył temi słowy:

— Zaszły ważne modyfikacye: zmiana punktów kardynalnych, zmniejszenia ciężkości. Ale nie byłem, moi panowie, tak jak wy, w tym błędzie, by mniemać, iż się znajduję na ziemskim sferoidzie. Nie! Ziemia w dalszym ciągu porusza się w przestrzeni w towarzystwie księżyca, który wcale jej nie opuścił; uderzenie nie naruszyło normalnej jej orbity. Zresztą była ona, że tak powiem, tylko musnięta przez kometę i straciła przy tem tylko tych kilka nieznacznych kawałków, które odszukaliście. Wszystko więc poszło doskonale i niemamy na co uskarżać się. Bo w samej rzeczy, albo moglibyśmy zostać rozmiażdżeni przy uderzeniu komety, albo ten mógł przylgnąć do ziemi; a w obu tych wypadkach nie mielibyśmy możności podróżowania w przestrzeni świata słonecznego.

Wszystko to Palmiryn Rosette mówił z takiem zadowoleniem, iż nie było co próbować zaprzeczać mu. Tylko niezręczny Ben-Zuf odważył się wystąpić ze zdaniem, że „gdyby zamiast uderzyć w jakiś punkt Afryki, kometa potrącił o górę Montmartre, to z pewnością góra ta oparłaby mu się, a wtedy...“

—Montmartre!—krzyknął Palmiryn Rosette; — ależ pagórek Montmartre rozbiłby się na proch, będąc nic więcej jak pospolitem kretowiskiem!

— Kretowiskiem! — krzyknął znowu Ben-Zuf do żywego obrażony.—Ależ moja góra w lot pochwyciłaby tego komecinę i włożyła sobie na głowę jak kepi!

Hektor Servadac, ażeby przerwać tę niewłaściwą dyskusyę, nakazał milczenie Ben-Zufowi, wyjaśniwszy profesorowi, jak szczególne wyobrażenie miał jego żołnierz o znaczeniu pagórka Montmartre.

Wypadek ten zatem został załatwiony „z rozkazu,“ ale ordynans nigdy nie mógł przebaczyć Palmirynowi Rosette takiego pogardliwego wyrażenia się o rodzinnej swej górze.

Po owem uderzeniu Palmiryn Rosette mógł prowadzić dalej swe astronomiczne spostrzeżenia. Jakie były rezultaty tego w przedmiocie przyszłości komety? o tem należało dowiedzieć się.

Porucznik Prokop ze wszelkiemi ostrożnościami, jakie nakazywał drażliwy temperament profesora, postawił dwojakie to zapytanie, a mianowicie co do drogi, którą Galia teraz przechodziła w przestrzeni i czasu trwania jej ruchu dokoła słońca.

— Tak jest, panie — odrzekł Palmiryn Rosette — określiłem drogę mojego komety przed uderzeniem; ale potem musiałem rozpocząć na nowo moje wyliczania.

— A dla czego, panie profesorze? — zapytał porucznik Prokop — dość zdziwiony odpowiedzią.

— Ponieważ jeżeli orbita ziemi nie została zmodyfikowana przez spotkanie, to inaczej rzecz się miała z orbitą Galii.

— Orbitą ta zmieniła się wskutek uderzenia?

— Stanowczo to utrzymuję — odrzekł Palmiryn Rosette — ponieważ późniejsze moje spostrzeżenia robione były z nadzwyczajną ścisłością.

— I otrzymałeś pan elementa nowej orbity?— zapytał żywo porocznik Prokop.

— Tak jest — odrzekł bez wahania Palmiryn Rosette.

— W takim razie pan wiesz...

— Oto co wiem, panie: wiem, że Galia potrąciła ziemię w przechodzie o godzinie drugiej, minut czterdzieści siedm, sekund trzydzieści pięć i sześć dziesiątych rano, w nocy z 31 grudnia na 1y stycznia; wiem; że 1go stycznia przecięła orbitę Wenery, że przeszła do swego perihelium 15 stycznia, że znowu przecięła orbitę Wenery 1 lutego, skrzyżowała się z orbitą Marsa 13 lutego, przeniosła się w sferę planet teleskopowych 10 marca, wzięła Nerinę za Satelitę...

— Wszystko to i my wiemy, kochany profesorze, ponieważ mieliśmy sposobność znalezienia notatek pana — rzekł Hektor Servadac—tylko, że notaty te były bez podpisu i oznaczenia miejsca.

— Eh! któżby się nie domyślał, że pochodzą odemnie! — zawołał z dumą profesor — odemnie, który je setkami rzucałem w morze, odemnie, Palmiryna Rosette!

— Nikt nie wątpił o tem — rzekł poważnie hrabia.

Jednak nie nastąpiła żadna odpowiedź dotycząca przyszłości Galii. Zdawało się, że Palmiryn Rosette chciał uniknąć odpowiedzi bezpośredniej. Więc porucznik Prokop zamierzał powtórzyć swe zapytanie więcej stanowczo; ale Hektor Servadac, będąc zdania, że lepiej jest nie nalegać na tego oryginała — rzekł:

— Kochany profesorze, czy nie wytłumaczysz nam pan, jak się to stało, że przy spotkaniu tak straszliwem, nie ponieśliśmy większego szwanku?

— To się tłumaczy bardzo łatwo.

— I czy sądzisz pan, że wyjąwszy oderwania kilku kwadratowych mil lądu, ziemia więcej nie ucierpiała, a zwłaszcza czy oś jej obrotu nie zmieniła się nagle?

— Tak sądzę, kapitanie Servadac — odrzekł Palmiryn Rosette — i oto moje dowody: Ziemia poruszała się wtedy z szybkością dwudziestu ośmiu tysięcy ośmiuset mil na godzinę, Galia z szybkością pięćdziesięciu siedmiu tysięcy mil. Jestto tak jak gdyby pociąg pędzony z szybkością ośmdziesięciu sześciu tysięcy mil na godzinę, uderzył o jaką przeszkodę. Jakie musiało być uderzenie, sami panowie możecie osądzić. Kometa, którego jądro jest z substancyi nadzwyczaj twardej, zrobił to co kula zbliska wystrzelona zrobiłaby ze szklanną szybą: przeszedł przez ziemię nic nie złamawszy.

— W samej rzeczy — odpowiedział kapitan Servadac, rzecz ta mogła się i tak odbyć...

— Powinna była! — odparł profesor stanowczo — a to tembardziej, że kula ziemska została dotkniętą bardzo ukośnie. Ale gdyby Galia padła na nią normalnie, to wdarłaby się głęboko, sprawiając największe klęski; rozwaliłaby nawet wzgórze Montmartre, gdyby wzgórze to znalazło się na jej drodze.

— Panie! — zawołał Ben-Zuf — na teraz zaatakowany bezpośrednio i bez prowokacyi.

— Milcz, Ben-Zuf! — rzekł kapitan Servadac.

W tej chwili Izaak Hakhabut, może przekonany rzeczywistością faktów, przybliżył się do Palmiryna Rosette i głosem znamionującym nadzwyczajny niepokój, zapytał:

— Panie profesorze! czy powrócimy na ziemię i kiedy powrócimy?

— Tak ci pilno? — zapytał Palmiryn Rosette.

— Chiałbym to, o co zapytuje Izaak—odezwał się wtedy porucznik Prokop—wyformułować bardziej naukowo.

— Proszę.

— Mówisz pan, że dawna orbita Galii została zmodyfikowana.

— Niezawodnie.

— Czy nowa orbita, nowa linia krzywa, po której porusza się kometa, jest hyperboliczną, coniosłoby ją na odległość nieskończoną w gwiazdzistym świecie i bez nadziei powrotu?

— Nie — odrzekł Palmiryn Rosettę.

— Więc ta orbita stała się eliptyczną?

— Eliptyczną.

— I pochyłość jej zawsze styka się z pochyłością ziemi?

— Niezawodnie.

— Więc Galia byłaby kometą peryodycznym.

— Tak jest — i o krótkim okresie, ponieważ obrót jej dokoła słońca, wziąwszy w rachubę wpływy, jakie wywrą na nią Jowisz, Saturn i Mars, dokona się ściśle we dwa lata?

— Ależ w takim razie — zawołał porucznik Prokop — wszystkie szanse są po temu, że po dwóch latach kometa znajdzie ziemię w tym samym punkcie, gdzie już raz spotkał się z nią!

— W samej rzeczy tego należy obawiać się.

— Obawiać! — krzyknął kapitan Servadac.

— Tak jest, moi panowie! — odpowiedział Palmiryn Rosette, tupnąwszy nogą. Dobrze nam jest tam, gdzie jesteśmy, i gdyby to tylko odemnie zależało, Galia nigdy nie powróciłaby na ziemię!

(C. d. n.)

Z ALBUMU HALINY.

JĘZYK NARODEM — NARÓD OSOBA.

* * * * * *

Pielęgnujmy mowy ziarno,
Niech ma w. rozrost grunt oremny;
Gdzie to ziarno — pójdzie marno,
Niwa zrodzi chwast nikczemny!

W słowie żyje naród wszelki,
W niem skarb czynów swych zawiera;
Chociaż umrze — gdy był wielki,
Sława jego nie umiera!

Bo tylko słowo stać się może ciałem,
Ono nam może jawić boskie cudy,
Ono w myśl wniknąć błyskawicy strzałem,
Ono skuć w naród rozstrzelone ludy,
Ono da sposób rozlicznej nauki,
Niem przodki z grobu wołają na wnuki:
„Pokąd to ziarno serc waszych mieszkaniem,
Grób nam nie cięży, stokroć z grobu wstaniem;
Jak trawka z pieńka zejdziem w każdej wiośnie.
Bo życie nasze w słowie wnuków rośnie;
Biada, gdy kiedy pójdzie w oniemienie!
Grób nasz się zamknie, zgaśnie pokolenie..."

Pani! Tą prawdą chcę żyć w Twej pamięci,
Tę prawdę starzec, w Twój Ci odjazd święci.
Lwów 6 maja 1853.

Jan Nep. Kamiński.

MAZUREK.

Oczętami wabisz zdradnie,
Rączka w tańcu drga..,
Ale serce czyż odgadnie
Czy ci wierzyć trza!

Bo mi mówił wojak stary,
Co świat dobrze zna,
Że dziewczyna w tańcu czary
Na chłopaków ma.

Czasem jedno oka mgnienie,
Uśmiech mlecznych lic,
Myślisz, że to przyrzeczenie,
A to wcale nic.

Czasem słyszysz serce puka,
Więc i twoje lgnie,
Puka — puka, aż oszuka,
Jeszcze śmieje się.

A więc hyżo i wesoło,
Niech twa nóżka mknie.,
W czarujące tańców koło,
Tylko nie nęć mnie.

Mnie już włos dziś bielą szrony,
Na cmentarzu mym,
Natłok wspomnień przebudzony
Niesie mgły i dym.

Zamiast tańca, ja panience
Mazureczka szlę,
Sam zaśpiewam i poświęcę,
Tylko nie nęć mnie!

Karol Świdziński.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Ciąg dalszy.

— A potem — mówił dalej — puścisz mnie z Leśnej Wólki... a ludzie powiedzą, że ja waryata udawałem tylko... i przez to odzyskam profesurę... bo pan mi pomoże, pan ma wpływy jako dziennikarz... pan wszystkim powie, że ja tylko udawałem waryata.

— Tak, tak, powiem, żeś pan tylko udawał.

— O ja doskonale potrafię udawać!... Bo to, widzi pan, to nie trzeba od razu... To tak, tak potrzeba pomału, coraz więcej, coraz więcej... Waryat czasem tak mówi, jak rozumny człowiek, niktby się nawet nie domyślił... Ja widziałem jednego waryata...

Tu ożywiając się coraz bardziej, zaczął gestykulować palcami w zwykły swój sposób.

— Ja widziałem raz jednego waryata... Czy pan był kiedy u „Pijarów?“ *)

— Byłem.

— A to dziwna, że ja sobie nie przypominam... bo to... bo ja... widzi pan... bywałem tam, ot tak, z ciekawości... wie pan, ja tam robiłem studya psychologiczne. Taki byłem zapalony do tych studyów, że nie mając co robić, mieszkałem tam nawet jakiś czas razem z waryatami... A kto nie wiedział, co ja tam robię, to mógł pomyśleć, że ja sam zwaryowałem... cha, cha, prawda, że to zabawne! No i dla tego profesurę mi odebrano. Bo widzi pan, kto nie wie, to może pomyśleć... No, ale jak ja wyjadę z Leśnej Wólki, to nie będę już udawać waryata... i o profesurę podam... Bo to widzi pan, profesor greki nie powinien o niczem myśleć tylko o swoim przedmiocie... a jak się matematyką zajmuje, to choćby kwadraturę koła loteryjnego metodą indukcyjną...

— No, bywaj zdrów, Kalasanty!

Małomowny Kalasanty rozgadał się teraz jak nakręcona stara pozytywka.

— Już idziecie? Tak dawno nikt u mnie nie był!... A ja chciałem panu opowiedzieć tyle rzeczy... bo to dziennikarz, to go wszystko interesuje. Tylko filologia nie... ha, to źle, to źle... Ale mówiliśmy o Pijarach... ale pan zakochany, to prawda! to panu spieszno. No, no, wiek młody ma swoje prawa.. Mój Mikołaju, jak ty się ożenisz z tą twoją kapitanówną, co wtedy Wojciechowa będzie robić?... ale prawda, ty się nie chcesz żenić z kapitanówną... Ja ją zamknę na klucz w alkierzu z tym panem dziennikarzem, aby ją musieli wydać za pana... A jak ja wyjadę z Leśnej Wólki... no, to i cóż mi to zresztą szkodzi: ludzie powiedzą, że ja udawałem... o! ja doskonale potrafię.. Tylko kołnierzyków mi praczka nie przyniosła... jakże ja się będę starać o profesurę... Do Mikołaja mówiłem nieraz.. No, to zresztą i lepiej... Wiesz pan?... Do widzenia... bo to trzeba dobrze obliczyć... Od obliczenia zależy wszystko. Cyfry nie mylą! Pamiętaj sobie pan ten aksyomat: cyfry nie mylą! Gdyby Euklides znał był logarytmy Vegi...

— Bądź zdrów.

— Na berneńskiej loteryi kwadra... Czekajno, bo coś ci miałem powiedzieć... kołnierzyków mi praczka nie przyniosła... bo widzisz, ja tam ni mogę ladajako wystąpić... Do Leśnej Wólki nie pojadę po kołnierzyki, waryata udawać... Tu co innego! Pamiętajże powiedzieć Marynie o kołnierzykach...

— Co ty pleciesz o Marynie! Do Leśnej Wólki przecież po kołnierzyki twoje nie pojadę. Sprawię ci frak i białą chustkę i kołnierzyki.

— Najpoczciwszy jesteś, mój Mikołajku! nieoceniony! Wszystko dla ciebie zrobię! To złote serce!... Frak! czarny frak!... Ha, ha! jak inspektor przyjdzie a ja wystąpię *melaneimon...* **)

— Bądź zdrów.

— Ej, zostań jeszcze!... Czemby cię tu poczęstować?.. hm, nie mam nic, nic. Kołnierzyków nawet praczka...

— Bądź zdrów!

XII.

U państwa Istenhaza-Kaperman pełno gości. Dzień ślubu.

*) Tak nazywano dawny zakład obłąkanych we Lwowie.

**) Czarno ubrany.

Kapitan z rozpromienioną twarzą co chwila podkręca wąsa, oczy mu błyszczą radością, klnie z czeska po węgiersku i z niemiecka po włosku, klepie po ramieniu i po plecach przyszłego zięcia, całuje się z mężczyznami, kobietom prawi grzeczności.

Pan Mikołaj w galowem ubraniu zwija się między zaproszonymi, ściska za rękę przyjaciół domu, usługuje damom z nerwową jakąś galanteryą, twarz stroi do uśmiechu, od czasu do czasu spogląda z niepokojem na przyszłego teścia. Blady przytem i roztargniony. Na pana Antoniego, który go unika, rzuci czasem ironiczne spojrzenie, na Wacia i na Kostusia patrzy jak na istoty niższego rzędu. Tylko na Florka jak na wyższą istotę, która sprzymierzeńcom swoim imponuje i w szachu ich trzyma.

Pan Floryan jeszcze bledszy od niego, ale pozornie spokojny. Stoi w kącie i za każdem skrzypnięciem drzwi od alkierza odwraca się w tę stronę.

W alkierzu panna młoda, jej matka i druchny. Pannę młodą stroją do ślubu, matka jej opuchłe ma od płaczu powieki, — ona sama milcząca i cicha. Nie płacze — owszem uśmiech czasem jakiś przebłyśnie po jej twarzy. Ręce jej tylko drżą i niczego utrzymać w nich nie może.

Ale co znaczy ten uśmiech?... Cóż innego jeśli nie nadzieje! Szepnął jej wczoraj Florek w przestankach rozmowy trzy słowa: — „Bądź spokojna. Do ślubu nie przyjdzie... Ale rób wszystko co ci powiem... a nie pytaj czemu... Wierz i ufaj mi, jeśli mnie kochasz!... Jeżeli nie kochasz — zabijesz!... Odwagi! wszystko będzie dobrze“.

— Co on zamyśla? Czy jest nadzieja?... Chciałaby wierzyć... i wierzy — nie wie, czy to nie szaleństwo mieć jeszcze nadzieję.

Pana Czecieczewicza jeszcze nie ma między gośćmi. Kapitan wygląda go niecierpliwie. Ciotka Celestyna, właścicielka Kartofelki Dolnej, paralityczka, oczywiście przyjechać nie mogła. Na list wcale nie odpowiedziała. Panna Anna, siostrzenica kapitana (ta sama, która stała się mimowolnym powodem pogruchotania Fredziowych kości) nie mogła się uwolnić od obowiązków guwernantki, które pełni u jakiejś bogatej rumuńskiej rodziny w pobliżu Suczawy czy Kimpolungu na Bukowinie. Przysłała tylko w darze dla panny młodej dziesięć słoików sorbetu, tyleż słoików róży smażonej i pięć funtów sułtańskiego chleba.

Reprezentanci rodziny kapitana i kapitanowej nie byli zatem obecni. Z rodziny pana młodego był pan Kalasanty.

Pan Kalasanty, po dwóch kieliszkach węgierskiego wina, w różowym humorze, ożywiony, rozpromieniony, rozgadany. W tej chwili dowodzi właśnie damom w sposób nieco drastyczny, że mody dzisiejsze są niedorzeczne i stawi im za wzór strój ateńskich niewiast. Cytuje przytem różne ustępy z Odyssei i z tragików greckich w oryginale i tłumaczy każdy wyraz z osobna, oświadczając się z chęcią ogłoszenia kursu nauki języka greckiego dla kobiet, pod warunkiem, aby w staro-greckich na jego wykład przychodziły strojach.

— Ależ tobyśmy pomarzły! zimnoby nam było w Galicyi tak chodzić ubrane jak posągi! to nie Grecya! — zauważyła pani Marcinowa, kolosalnych kształtów blondynka, wygorsowana do ostatnich granic możliwości.

Kalasanty odparł wcale rozsądnie, że nie-

wiele jej cieplej może być w tej wygorsowanej sukni, którą ma na sobie — i dodał, że zresztą wykłady dla dam może mieć tylko w lecie, w czasie wakacyi, bo kiedyindziej obowiązki jego profesorskie na to nie dozwolą.

O swojej profesurze tak mówi, jakby ją już odzyskał i namawia wszystkich, aby chodzili na jego wykłady. Obiecuje, że kto się po grecku nauczy, to on mu w nagrodę wyłoży „metodą indukcyjną kwadraturę koła loteryjnego“. Zapowiada, że dla dam będzie wykładać w tym samym fraku i w białej krawatce, którą otrzymał w darze od swego siostrzeńca. Przy wzmiance o nim, wychwala jego zalety i radzi każdej damie, żeby poszła za niego, zaręczając, że jej odstąpi swój pokój w Leśnej Wólce, bo on tam już nie wróci „waryata udawać“. Śmieje się przy tem w głos, jakby zadowolony z własnych konceptów i wspomniawszy o udawaniu waryata wpada na ten temat i z takim humorem opowiada anegdotki o obłąkanych, że wszyscy goście nazywają go bardzo miłym i jowialnym facecyonistą.

Spostrzegłszy, że wszystkich ubawił, coraz bardziej puszcza cugle swemu humorowi i sam siebie nazywając „chodzącą niespodzianką“ zapowiada, że taką jeszcze dziś przygotowuje rzecz, iż się całe miasto śmiać będzie... i każdy na loteryi wygra. Tu urwał nagle, ujrzawszy utkwiony w nim surowy wzrok Mikołaja. Skubiąc brodę, zapytuje go po cichu, czy nie czas?...

— Słuchaj we wszystkiem Florka — szepnął mu Mikołaj na ucho. Kalasanty pobiegł z zapytaniem do fejletonisty.

— Dam panu znać — odrzekł mu Florek.

— A kiedyż mam zacząć udawać?...

— Ja sądziłem, że pan już udajesz?

— Jeszcze nie.

— Nie?... A więc graj pan tę samą rolę co teraz, — a udasz, żeś już formalnie zwaryował, dopiero wtedy, jak nas zamkniesz.

XIII.

— Pan Kalasanty jakiś bardzo dziś rozmowny — rzekł z cicha Floryan do Mikołaja. Czy on się nie wygada?

— O nie bój się! Ma on respekt przed (tu gest jakiś znaczący) i wie co to znaczy — a zagroziłem mu. Prędzej zapomni o swej grece, niż o tem.

— Ja się przecież obawiam. Miej go na oku.

— Bądź spokojny. Jestem jego pewny pod tym względem. Znam go dobrze.

— Uważaj przecież na niego. Patrz, co on wyrabia — a kapitan ciągle mu dolewa wina.

— Ale powtarzam ci, bądź spokojny. Wszak tu o mnie idzie najbardziej, a ja się nie boję. Tylko my dwaj z sobą nie rozmawiajmy długo, bo się potem ludzie gotowi domyśleć, żeśmy byli w zmowie.

Floryan odszedł na drugą stronę saloniku.

— Cóż, panie Floryanie! — rzekł do niego pan Antoni, mrugając dużemi oczyma i gładząc gładziutką łysinę: — z sekretaryatu widzę, nic nie będzie. Co?... Nie udało ci się wysadzić Mikołaja.

— Dotąd niestety jeszcze nie...

— Jak to: dotąd? czy jeszcze jest nadzieja? co?

— Kto wie. A czy mogę liczyć w danym razie na pomoc pańską?..

— Co?... I owszem!... Wszak przyrzekłem. Co?... A tożbym się cieszył!...

— I na sekretaryat liczyć mogę?

— Najniezawodniej!

XIV.

— Co to ta dzisiejsza młodzież! Sapperment! to nie tak jak za moich czasów bywało.. kein Feuer!... Ani do szabli, ani do konia, ani do dziewczyny... oh pardon meine Damen! ale co prawda, to prawda. No, mój panie zięć (tu go kapitan kordyalnie palnął szeroką dłonią w plecy aż biednemu Mikołajkowi w piersiach coś odjękło) no, mój kochany panie zięć! ty to tęgi chłopec... dobrze się pokazujesz! Ale inni.. cha, cha! Ty się sem jeszcze lepiej pokażesz po ślubie... ja wiem. Ich werde bald.. pst! Nicht wahr?.. Ale inni? Gott erbarme! to jak ryby mają zimną krew... Sie vegetiren nur! Milllion! was wissen die von Leben und Liebe!

— Ho, nie wszyscyśmy tacy, panie kapitanie, nie wszyscy! — odezwał się Florek. — Jest i w nas krew i życie.

— Was? krew i życie! Paperlepap! cha, cha! Kann schon sein panie Floryan, ale do pisania a nie do *całowania!...* Co to my! my! bassa... za moich młodych lat, corpo di Bacco, jakby którego sem kwadrans czasu zostawić samego mit einem hübschen dziewczyna... no!... to już!.. o! pst!... pardon meine Damen!...

— Panie kapitanie dobrodzieju — rzekł śmiejąc się Florek — niekorzystne pan masz wyobrażenie o dzisiejszej młodzieży — a niesłusznie My tacy sami jak panowie byliście za młodu. Za innych zresztą nie ręczę, ale co do mnie, to...

— Ha, ha, ha, chciałby ja sem to widzieć!

(C. d. n.)

KRYTYKA.

Polacy w południowo-zachodnim kraju: ustęp tomu VII. dzieła p. t. Prace etnograficzno-statystycznej ekspedycyi do zachodnio-russkiego kraju.

(*Ciąg dalszy.*)

Katolicyzm w południowo-zachodnim kraju. „Katolicyzm w południowo-zachodnim kraju jest religią pańską, a ksiądz — kapłanem szlachty. Zapatrywanie się podobne podziela naród z Polakami i ich duchowieństwem“. Temi słowy p. M. rozpoczyna rzecz o katolicyzmie na Rusi i na tej podstawie opiera wywody swoje, wykazując zależność bytową duchowieństwa katolickiego od panów, z których księża główne ciągną dochody, i wyprowadzając ztąd arystokratyzm katolicyzmu na Rusi a zarazem i polonizm onego. Liczebną siłę parafian daje szlachta chodaczkowa, pozbawiona przywilejów dawniejszych, zbiedniała, do chłopa zbliżona i nie odwracająca się ze wstrętem od prawosławia, które uważa za religię biednych ludzi. Katolicyzm, zdaniem autora, w królestwie polskiem jest religią narodową, na Rusi zaś znamionuje „opolaczenie“ i, jako taki występuje jako pytanie polityczne. „Jakiekolwiek by były wewnętrzne jego przekonania — słowa pana M. — pan zawsze pokazać się stara religijnym. Ztąd pochodzi owa obłuda, która nie może nie razić spostrzegacza“. Gdzie jednakże religijność najmocniej jest rozkrzewioną, to w kobietach, będących przez gorliwość religijną zapalonemi patryotkami polskiemi. Kierunek ten podtrzymują w nich dzieła Hoffmanowej i Ziemęckiej, oraz „wielce popularne poetyczne utwory Deotymy.“ Ztąd to nie zadziwia fanatyzm w polskich kobietach; nie dziw, że występowały one jako najpotężniejsza siła obudzająca patryotyzm. Przewódzcy też, tak klerykalni jak polityczni, zawsze starali się wpływać szczególnie na kobiety. Nie dziw także, że i „libertyni,“ pod wpływem życia rodzinnego zmieniali się w obłudników.“

Nie dziw — powiemy z naszej strony — że w kobietach uczucia religijne objawiają się żywiej aniżeli w mężczyznach. Właściwość ta wspólną jest całemu rodzajowi niewieściemu. Kobiety francuskie, niemieckie, włoskie, angielskie, moskiewskie nawet, żywo religię odczuwają i gorliwie ją praktykują, tem zaś bardziej na Rusi, gdzie religia katolicka ulega prześladowaniu. Prześladowanie oddziaływa i na mężczyzn, budząc w nich punkt honoru i sprawiając to, że ten nawet, co w innych warunkach przyznałby się do bezwyznaniowości, przyznaje się do katolicyzmu. Jest to objaw naturalny, jeżeli się nań zapatrywać będziemy z punktu widzenia, nie wymyślonej przez Moskali polskiej intrygi, a moralnego. Rząd, prześladując katolicyzm, narzuca prawosławie, czyli chce ażeby się na Rusi powtórzyło to, co przed laty miało miejsce w Bośni, gdzie szlachta cała, celem zachowania przywilejów społecznych, przyjęła islamizm. Proponowana przez rząd zamiana religii jednej na drugą, złej na jeszcze gorszą, o ile z jednej strony wielkie zaparcie korzyści we względzie materyalnym, o tyle z drugiej sprowadza moralność niżej zera. Że się kobiety polskie do utrzymania onej na godziwej wysokości przyczyniają — cześć im za to!... Zarzut, jaki im z tej racyi delegat Towarzystwa geograficznego czyni, jest dla nich, wobec dziejów, świadectwem najchlubniejszem, pomimo, że zarzut ten nazwanym został fanatyzmem, który w rzeczy samej istnieć może. Fanatyzm przypuszczamy. Nie było go wcale przed rokiem 1863. Byłoby jednak rzeczą na podziw zasługującą, gdyby się nie wyrodził pod tym prześladowczym naciskiem, jakiego rząd się dopuszcza, a który z jego strony ma doniosłość kroku politycznego, wcale trafnie obrachowanego. We względzie tym, rząd moskiewski schodzi się z pruskim tak, że niewiadomo, który z nich dwóch jest wynalazcą, a który naśladowcą. Wiadomo atoli, że jeden i drugi sprzęga polonizm z katolicyzmem w tym celu, ażeby ten ostatni udzielał tamtemu całej ujemności swojej i pozwolił oskarżać przed światem Polaków o klerykalizm, o arystokratyzm, o dążności wsteczne, o jałowość gruntu polskiego, odstręczając od nich w ten sposób ich naturalnych sprzymierzeńców, jakich oni znajdowali w żywiołach demokratycznych Europy. Słusznie przeto p. Michalczuk kwestyę religijną na Rusi nazwał polityczną. Jest ona polityczną — taką ją bowiem uczynił rząd, który żeni gwałtem katolicyzm z polonizmem, podając je za jedno i toż samo. Że tak nie jest, na to dowodów nie potrzeba szukać daleko: dosyć wykazać spory, niestety! zastęp złych Polaków, którzy się odznaczali gorliwością ultra-katolicką, jak np. arcybiskup gnieźnieński, obecnie kardynał. hr. Ledóchowski, albo też osobistość wybitna w literaturze polskiej, Henryk hr. Rzewuski (*plus catholique que le pape, plus russe que moi et plus royaliste que vous* — słowa, któremi car Mikołaj przedstawił Rzewuskiego królowi pruskiemu.) Kościół katolicki, że się garnie do polonizmu na Rusi, to dla tego, że jest prześladowany; gdzie się zaś

polonizm garnie do kościoła katolickiego, jak np. krakowskie stronnictwo, tam przyczyn szukać trzeba w Rzymie, nie zaś w politycznych tendencyach narodowości polskiej, która, jak o tem dzieje świadczą, w naturze swojej fanatyzmu nie posiada. W pewnej dobie dziejowej, Polska tylko i Hollandya w Europie całej dawały przytułek wyznaniom prześladowanym. Fanatyzm w niej, ile razy się objawiał — a nie objawiał się nigdy z taką siłą jak gdzieindziej — zawsze występował sztucznie w przeszłości, jako wytwór jezuicki, w teraźniejszości, jako wytwór moskiewski. Toć powstańcy 1830 r., obłożeni klątwą przez stolicę apostolską, nie byli fanatykami; ani też fanatyzm religijny nie podawał do rąk oręża powstańcom 1863 r, którzy obwołali swobodę i równouprawnienie wyznań. Gdyby rząd moskiewski cofnął prześladowanie na Rusi i zniósł haniebne prawo o małżeństwach mięszanych, i zaprowadził równouprawnienie wyznań, wówczas dopiero panowie Michalczuki mieliby prawo fanatyzm Polkom, a obłudę Polakom zarzucać.

Katolicyzm posiada właściwość jedną, która go Polakom pod panowaniem moskiewskiem, obowiązanym wyznawać jedną z religii tolerowanych, szacownym czyni. Zależąc od Rzymu, od papieża, nie daje się naginać do celów policyjnych, jak prawosławie. Rząd zrobił księży prawosławnych policyjnymi agentami, podając ich przez to w nienawiść u ludu; księża katoliccy nie dali się użyć w ten sposób — nie przyjęli funkcyi szpiegów duchownych, indagujących przy spowiedziach owieczki. Nie dali się też użyć i w inny sposób. W latach, zaczynając od 1836 czy 37, nakazanem zostało katechetom po szkołach niższych i średnich wykładanie „katechizmu cesarskiego, mniejszego i większego.“ Księża nie wykładali katechizmu tego *con amore*; nie wpajali w uczniów ubóstwienia dla cara. Czemu pan M. w faktach tego rodzaju nie szuka przyczyn „fanatyzmu“ i „obłudy?“ Środki takie nie mogły przejść bez następstw.

Pan M. ganiąc w ogóle nastrój religijny Polaków, notuje, że nastrój ów nie obchodził się bez reakcyi w łonie samegoż społeczeństwa polskiego, lecz czemu na świadectwo przywołuje pismo zbiorowe pt. „Gwiazda,“ które mianuje „almanachem.“ „W ogóle — powiada — przejrzeć potrzeba literaturę polską, ażeby się przekonać, że przenika ją katolicki romantyzm o tyle, co estetyka pańska. Wyjątek przedstawia wydawany w Kijowie w 40 latach, pod wpływem russkiego filozoficznego kierunku literatury, almanach „Gwiazda.“ Almanach ów większość inteligencyi polskiej spotkała dosyć nieprzychylnie, a spółpracownicy onego musieli nie tylko przerwać wydawnictwo, ale zrobić się obłudnikami pod naciskiem fanatyzmu opinii publicznej.“ Wystąpienie „Gwiazdy“ wywołały „Mieszaniny Jarosza Bejły“ — „Mieszaniny,“ wymierzone głównie przeciwko szerzącym się mocno w społeczeństwie szlacheckiem pojęciom demokratycznym i indyferentyzmowi religijnemu. Dotknęły one społeczeństwo do głębi. „Gwiazda“ stanęła w obronie nowych pojęć, czerpiąc natchnienie nie w literaturze rossyjskiej, która wówczas rozwijała się ściśle po ukazu i była społeczeństwu polskiemu absolutnie nieznaną, a w samychże pojęciach, które na grunt polski, po swojemu, często niestosownie, przeszczepiały postępowe idee Zachodu. Opinia też publiczna nie okazywała się „Gwieździe“ nieprzychylną, owszem: pismo to w swoim czasie bardzo czytane, wychodzić przestało dla tego, że rząd wydawać je zakazał, jako przekradające patryotyzm polski pomiędzy wierszami i anti-religijne. Dla przekonania to władzy, że zarzut anti-religijności groźny w czasie, biedy Bibików officyalnie w obronie boskości natury Chrystusa stawał, nie był słusznym, redaktorowie „Gwiazdy“ oddali na kościół pieniądze prenumeracyjne. W ustępie przeto, odnoszącym się do tej sprawy, wszystko co pan M. podaje, rozmija się z prawdą faktyczną. Rzecz wymyślona *ad usum delphini*.

Nastrój religijny szlachty czynszowej przedstawiony w świetle fałszywem. Za dowód obojętności jej względem religii katolickiej sprawozdawca ten podaje szczegół, że na kazaniach drzemie. Gdzież to kazania w drzemanie nie wprawiają słuchaczy? W Belgii duchowieństwo potrafiło po wsiach żarliwość religijną ludu do bardzo wysokiej podnieść potęgi, a i tam regularnie kaznodzieje grzmią z ambon przed słuchaczami na pół uspionymi. Pochodzi to z usypiającej natury kazań, nie zaś z obojętności religijnej, która na Rusi nie okazuje się większą w szlachcie chodaczkowej względem katolicyzmu, niż w chłopach względem prawosławia. Lud bynajmniej nie garnie się do religii urzędowej i gdyby go popi nie zmuszali i nie doglądali, aniby cerkiew odwiedzał, ani do spowiedzi chodził. Zapominać nie należy, że pełnienie obrządków religijnych idzie tam „po ukazu,“ pod presyą policyi—chłop musi być gorliwym, chociażby nie chciał — idzie i słucha „służby bożej,“ odbywanej w starosłowiańskim języku, niezrozumiałym dla niego o tyle, co łaciński dla katolików. Że i w nim przywiązanie do prawosławia, pomimo reform, po 1863 r. nie wzmogło się dowodem na to sztundyzm.

Zanotować należy wzmiankę jedną, rzucającą światło na stosunek wzajemny pomiędzy wyznaniami na Rusi. Po niektórych miastach istnieją z dawna założone bractwa mięszane, na poły katolickie, na poły prawosławne. Członkowie bractw tych asystują nabożeństwom i w kościele i w cerkwi. Sprawozdawca wyciąga z tego wniosek, jako z łatwością ludność katolicką dałoby się na prawosławie przeciągnąć, my zaś widzimy w tem dowód, że stosunki religijne ułożyłyby się na Rusi zgodnie, gdyby nie postronna interwencya w przeszłości jezuitów, w obecnym czasie Moskali, którzy drogą „reglementacyi ukaźnej“ psują wszystko, mitrężą i wikłają.

Wspomina też pan M. i o kwestyi zrussyfikowania katolicyzmu, o wprowadzeniu do obrządków kościelnych języka moskiewskiego. Wydaje się mu, że środek ten „zdemokratyzowałby“ katolicyzm, zarazem jednak zbliżyłby żyjących w sferach pańskich księży do ludu i utrudnił nawracanie na prawosławie. I tak źle i tak nie dobrze. Najlepiej, zdaje się, byłoby, gdyby rząd tę kwestyę rozstrzygnął po ukazu, pociągnąwszy pierwej kabałę, jak zrobić: czy zdemokratyzować, czy nie zdemokratyzować katolicyzm?

(C. d. n.)

Zygmunt Miłkowski.

POGADANKI O WŁOSZECH

Olgi hr. Komorowskiej.

II.

(Ciąg dalszy).

Biografie, broszury, sypią się z rzadką obfitością; nie mówimy o drzewach genealogicznych rodziny sabaudzkiej, fotochromolitografowanych. W dziennikach, rozdawanych jako premie, widoki komnaty śmiertelnej, kaplicy jarzącej, katafalku, pogrzebu; jednem słowem wszyscy zarabiają; nie licząc że Rzym, mnogością przybyłych do stolicy znakomitości, wysłanników stowarzyszeń, i ciekawych cudzoziemców, podreperował swoje finanse; i dziś już może z prawdziwie rzymskiem wyrachowaniem prosi Boga, aby choć co parę lat jeden król włoski po drugim umierali, dla jego zarobku. Wszędzie mówiono tylko o tym wypadku; rozprawiano, komentowano, szydzono rzadko, wzdychano cicho, ale wszędzie przeważnie żałowano; i dziś otwarte, szybko zapełniające się subskrypcye na pomniki świadczą o prawdziwem uznaniu całych wdzięcznych, zjednoczonych pod jego berłem Włoch.

W Rzymie i po prowincyonalnych miastach pomniki na cześć zmarłego wprędce się wznosić będą na publicznych placach; najznakomitsi więc rzeźbiarze będą mieć obszerne pole rozwinięcia zdolności dłuta i wyobraźni. Jest ich tu dosyć znaczna liczba; może nawet za wielka takich, co tradycyę rzeźby przechowują bardzo niedbale, obojętnie, tak że nie podaje w dziełach synów, nieśmiertelnych arcydzieł wielkich przodków.

Mówimy tu jedynie o ostatnich, po wystawie Paryzkiej czasach. Na wystawie wiedeńskiej już zauważyliśmy z boleścią, iż rzeźbiarstwo we Włoszech stało się czysto dekoracyjnem rzemiosłem. Maluchne posążki tłustych geniuszów nie noszą nawet cechy osobnej każdego rzeźbiarza, ale zdają się być podług jednego i tegoż samego wzoru, setnemi dłutami dla zabawki wykonywanemi. Allegoryczne postacie wiosny, niewinności, melancholii, zalotności, niewolnice etiopskie, i tancerki cygańskie, potrzebują podpisu abyś je rozróżnił; a tylko odmienne nazwiska rzeźbiarzy dowodzą, iż w głowach ich wszystkich prawie, zaraźliwie, rzecby można, zapanował manieryzm tuzinkowy, paczący całkowicie prawdziwe natchnienie. Po cmentarzach Medyolanu, Bolonii, Genui, Neapolu, wszędzie, gdzie tylko odczytujesz datę lat dziesięciu w tył, zoczysz płaczliwych aniołów z krzyżem i gwiazdą na włosach, ze sznurków złożonych niby; wychudłe postacie kobiece, okrutnie wykrzywione, na urnach obwisłe, nie zrozpaczone, ale znudzone. Tu i owdzie błyśnie jakaś myśl śmielsza, ale słabo wykonana; jakieś wspomnienie dawnej chwały, zepsute nowomodną mięszaniną. Rzeźba niestety! ze sztuki, przechodzi w rzemiosło; może być to praktyczniejszem dla artystów-rzemieślników, ale niezawodnie jest to ze szkodą natchnienia, harmonii i wielkości.

Cmętarze bowiem we Włoszech od lat przeszło dwudziestu stały się istnemi muzeami; gdyż wielkie czworoboczne przestrzenie, w środku odkryte, zawierają groby tych, co nie mają za co poświęconej ziemi zapłacić; w szerokich, sklepionych kurytarzach, jakby w szufladkach korzennego sklepu, składają się do snu wiecznego dostatniejsi śmiertelnicy, o których nazwiskach i zasługach, mówią marmurowe płyty, niby etykiety na szufladkach przylepione. Nad grobami dopiero, całym rodzinom przeznaczonemi, lub zakupionemi bardzo drogo przez możnych posiadaczy, wznoszą się większych i mniejszych rozmiarów nadgrobki; i w nich to możesz śledzić cały rozwój sztuki rzeźbiarskiej, wynaleźć nazwy rzeźbiarzy i talent ich ocenić.

Jest to piękna myśl zapewne, połączenia śmierci ze sztuką, śmierci, żywiącej sztukę, sztuki, śmierć uwieczniającej; wskazujących, jak w wiekuistej harmonii przyrodzenia jednym łańcuchem śmierć z życiem jest związaną. Dla naszych północnych, mistycznych nieco wyobraźni, to szufladkowe życie po śmierci nie bardzo się uśmiecha; zdaje się, iż w godzinę sądu ostatecznego, nie anioł bladolicy z powiewnemi skrzydły, ale pyzaty, czerwony kupczyk sklepowy, z zielonym fartuchem, wyciągnie za czupryne, zważy, obwinie w bibułę, i tak dopiero Bogu poda różowym sznureczkiem skrępowanego; a z pod owych ciężkich, marmurowych wielkości, z biedą tylko i sapiąc mozolnie, na głos trąby siekierą drogę sobie torując wyłazić potrzeba. Jakoś pod błękitami niebios, wśród kwiatów woni, płaczącego spiewu, lżej się zdaje duszy usypiać; ale Włochom widać to obojętnem, bo wszyscy bez wyjątku dążą po śmierci do owej, za życia nieznanej, niewygodnej szufladki.

Na wystawach sztuk pięknych, kilka razy do roku, czy to w Rzymie, czy też w innych większych miastach otwieranych publiczności; wszędzie dojrzesz z łatwością, tęż samą dążność do nieznaczącej, grze-

sznej, zgubnej zatraty dawnych pojęć i wzorów. Popiersia jednak są wiernego podobieństwa; często wyśmienicie wykończone; pełne wyrazu siły, lub wdzięku; płaskorzeźby równie staranne, z zachowaniem pierwotnej surowości i wyborną perspektywą połączone.

Snycerstwo, jedynie do ozdób domowych zwrócone, w Medyolanie, Genui, Luce, przedstawia niezmiernie poprawne rysunki i misterne wykonanie. Roku zeszłego widzieliśmy na wystawie w Genui umeblowanie sypialnej komnaty z wiśniowego drzewa; całe w wieńce kwiatów i owoców, kopiowanych z tak zwanych „grottesco“ z kurytarzy watykańskich fresków, z tańczącemi boginiami i sylfami. któregoby się nie zawstydziło i szczytne w sztukach wszelkiego rodzaju „cinquecento“: tak harmonia układu i lekkość wykonania wdziękiem otaczały mało poetyczne same z siebie sprzęty sypialni.

Szeroko rozgałęziona industrya wyrobów z alabastru, marmurów kolorowych, służąca do zapełnienia sklepów Rzymu, Florencyi i Pizy, jest zupełnie tylko ku cackom zwróconą; i znaną być musi ze wszystkich półek i biórek każdemu, kto kiedykolwiek Włochy odwiedzał; prawie ciągle w tejże samej lub mało w odmiennej formie się przedstawia.

W Neapolu wyrabiają z gliny a później kolorują udatne figurki typowe rybaków, kwestarzy, kobiet, przekupni tamtejszych; i tysiące tychże figurek do Ameryki wysyłają; w Sorrento koło Neapolu układają dosyć sztuczne mozaiki z drzewa; a w księstwie Luki z oliwnych cienkich deszczułek przezroczyste rzeźby wcale ładny pozór mają. Wspomnimy tylko mimo chodem o weneckich odrodzonych wyrobach z dętego szkła, niczem nie ustępujących dawnym, wysoko cenionym fabrykom Murano; ani też nie będziemy się wdawać w obszerniejszy opis mozaik rzymskich, drobniuchnych, do emalii zbliżonych; i florenckich tak zwanych „pietra dura“; gdyż są całemu światu znane, choćby tylko z tysiącznych, drobnych upominków, jakiemi podróżni, od wieku Włochy zwiedzający, zwykli obdarzać pozostałych krewnych lub przyjaciół w ojczyźnie, z powrotem, między pocałunkiem i zapytaniem o zdrowie.

Sztuka złotnicza naśladowaniem starożytnych, greckich i rzymskich ozdób głównie się zajmuje; świeżo zmarły złotnik Marchesini, jako jubiler w Rzymie i we Florencyi był znanym, jakoteż słusznie cenionym dla doboru, smaku i oprawy klejnotów. Castellani w Rzymie mistrzowsko wykonywa wszelkie delikatne oprawy większych rozmiarów; jego roboty przepyszne album ofiarowane królowej Małgorzacie przed dwoma laty przez panie rzymskie, całe zdobne w cudnej piękności starożytne kamee na tle filigranu złota, w nadobne liście winogradu, jest arcydziełem nowożytnej sztuki i stylu czystości pełnego.

O malarstwie obszerniej w następnej pogadance mówić będziemy. Nie podobna zamilczeć, że fabryki i rękodzieła stoją jeszcze na bardzo niskim stopniu; dotąd zabawki, dwugroszowe nawet, tylko z Niemiec i Francyi się sprowadzają; artykuły odzieży wyłącznie z Francyi, rzadziej z Anglii, z przyczyny wysokiego cła. Genua posiada kilka fabryk nieznacznych i nie odpowiednich do wielkości tego zamożnego miasta. Florencya, odłużona szalonymi wydatkami na niepotrzebne rzeczy, daje upadać prawie swym dwom fabrykom jedwabiu, i tylko kapelusze słomiane nieco dziury łatają. Lukka zasnęła na swych lekkich materyach jedwabnych, nakształt materyi zurychskich wyrabianych; słowem jeśli w kilku latach rząd na seryo nie pomyśli, i nie zmusi prawie mieszkańców do działania w tym kierunku, Włochy, posiadające wszystko, co może tylko wpłynąć na rozwój przemysłu: zasoby krajowe, zręczność mieszkańców, taniość stosunkową mieszkań, zapłatę niską wyrobników, łatwość wywozu i dowozu, lądem i morzem — pozostaną jednak w rzędzie najzacofańszych ludów.

(Dok. nast).

KORESPONDENCYE „TYGODNIA.“

Dużo lwowskie dzienniki pisały tymi czasy o obrazie Siemiradzkiego „Pochodnie Nerona“. Najlepiej go ocenił pod względem artystycznym Wojciech Dzieduszycki w „Tygodniu,“ ale jakkolwiek opisał go pięknie, ze znajomością sztuki, nie we wszystkiem się z nim zgadzam. I tak to, co mówi o niekorzystnem wrażeniu na pierwszy rzut oka, to z pewnością tylko złe umieszczenie go sprawiało, w tym różno-litym tłumie. nawet na jednę chwilę przypuścić nie można, że to krzykliwa i dekoracyjna wystawa barw jak u Makarta, tak są te barwy delikatne i miękkie, choć czyste, tak harmonijnie się zlewają. Złe umieszczenie perspektywy dojrzeć na razie nie dozwalało. Siemiradzki bowiem malując, gdy myślał o różnych salach, nie mógł pomyśleć o podobnej, jak ta na Strzelnicy.

Dalej, nie jest to wadą, że myśl obrazu nie leży w jego geometrycznym środku, byle myśl dostatecznie uwydatnioną była, pociągnie oko i gdziekolwiek jest umieszczoną i zapanuje nad całością. Tak Skarga w kazaniu Matejki nie jest na środku, ledwo nie w kącie po prawej stronie, a jak wymownie ześrodkowuje myśl całą i ruch obrazu. Na pierwsze wejrzenie pociąga piękną natchnioną postacią i nie w około, ale dalej na lewo snuje się treść cała tego, co artysta chciał wypowiedzieć. Zresztą Siemiradzki chciał przedstawić dwa obrazy, dwa światy. Wszechwładny wówczas i potężny świat pogański rozsiadł się szeroko po ziemi całej, jemu to przynależne miejsce, panujące obszernie w obrazie, jemu też stronę świetlaną, przepych bogactwa, niezrównaną piękność ciała i muzykę barw artysta nadał, jak się autor wyraża. Drugi obraz, świat drugi, chrześciański, który dopiero świtać poczynał, nie liczny, gnębiony, kryjący się w podziemnych katakombach, jak w rzeczywistości, zajmuje w obrazie tylko małe miejsce w jednym kącie. Zmrok zapadł, niebo gaśnie. lecz duch tam świeci, czuje się, że ztąd wytryśnie światło, które ziemię ogarnie. Tu w tej części obrazu, zaciemnionej, nie olśniewającej, bez kolorytu i barw jest wyraz wzniosły, smętny i rzewny, który duszę na wskróś przejmuje. Perspektywa tu przepyszna, o zmroku szarym, sięga daleko po za ogrody Nerona, w świat nieznany, jak wieczność objęmie i nieskończoność to, co ztąd wychodzi. Jest w tym obrazie wszystko, co być powinno, obok weselnej gamy, jest i gama tragiczna. Mnie on przejął do dna, ale też innem okiem patrzyłam na męczenników, o których Dzieduszycki powiada, iż o nich najmniej mówić przyjdzie. Tu się wcale z nim nie zgadzam.

Na twarzy starca jest rezygnacya i taki spokój, jakiego świat i ludzie dać nie mogą; stanowi on silną sprzeczność z rozpasanym biesiadującym światem pogańskim, uwydatnia wyższość ducha chrześciańskiego, nad namiętnościami bydlęcemi, fanatyzmu w nim nie ma, nie ma gorączkowej egzaltacyi, lecz jest niezachwiana głęboka wiara, z jaką tylko w duszy umiera się tak spokojnie. Dziewica zaś to najpiękniejsza twarz świętej, gdyby na średniowiecznym obrazie, ma wyraz boski, taką piękność anielską, jak na obrazach malowanych niegdyś w ciszy klasztornej przez natchnionych ascetów. Wyrazem przypomina święte z obrazów Fra Angelica.

Dla mnie całość obrazu jest niezrównaną, barwy weselne są takie, że nie idzie dalej, barwy tragiczne na wieki wyryte zostały w duszy, wszystko jednem z najmilszych moich na zawsze wspomnień.

Teofila Korytko.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 1. marca.

Zapewne wszyscy czytelnicy nasi już wiedzą, że mamy nowego papieża, jednak że zwyczaju kronikarskiego uwiadamiamy, iż kardynał Pecci pod imieniem Leona XIII. zasiadł na stolicy Piotrowej. Świat katolicki odetchnął swobodniej, albowiem spoglądano z obawą w stronę Warcina, czy nie przyjdzie też ochota żelaznemu kanclerzowi położyć także swą żelazną rękę na wybór conclave. Czy nie mógł, lub nie chciał mięszać się do tej sprawy, o tem mogliby nas objaśnić tylko niektórzy z członków komisyi, zajmującej się wyborem delegacyi dla złożenia hołdu nowemu papieżowi. Dla tych panów nie ma nic tajnego pod słońcem, oni razem z pewną tutejszą gazetą słyszą najwyraźniej, jak rośnie trawa na dziedzińcach wszystkich pałaców ministeryalnych w całej Europie.

Nieszczególna to wprawdzie pod względem materyalnym ta stolica Piotrowa, dziś ograniczona murami Watykanu, lecz jako moralna potęga, długo jeszcze i bardzo długo będzie tą ewangeliczną opoką, o którą rozbijają się nietylko żelazne, ale nawet stalowe głowy dyplomatów i mocarzy świata tego. Niejaki pan Sozański z Krakowa, porozumiawszy się uprzednio z królem Humbertem, zapragnął być rozjemcą Europy i za jednym zamachem postanowił zabić dwie muchy trapiące świat stary, to jest kwestyę wschodnią i kwestyę rzymską. Lecz propozycya jego, oddania Konstantynopola nowemu papieżowi, napotkała ze względów przyzwoitości w Petersburgu na wielką opozycyę... Książę Gorczaków właśnie ma zamiar dokołatać dni swoich w pałacach sułtańskich nad brzegami Bosforu, a właśnie pan Sozański chciałby tam ulokować papieża z całym orszakiem kardynałów, którzyby gotowi zachwiać panslawizm i nawrócić Turków na katolicyzm.... Że też polityk ze Szczutka jeszcze nie trafił na taką głęboką kombinacyę!

Bądź co bądź, jednak ta zmiana papieży nie mało namartwiła dewotki lwowskie w gatunku minoris. Od dwóch tygodni pozostają one ciągle w bogobojnej emocyi i zdziwieniu, co się tam w tym Rzymie nie wyprawia? Szanowne te matrony, sylabizując z namaszczeniem wszystkie plakaty rozlepione po rogach ulic, gdy chodziło o żałobne nabożeństwo po śmierci Piusa IX. w żaden sposób nie mogły dojść, z którego kościoła nastąpi wyprowadzenie zwłok na cmentarz łyczakowski. Wczoraj znów, gdy zobaczyły nowe ogłoszenia, z imieniem Leona XIII, donoszące o odprawieniu dziękczynnego nabożeństwa, załamywały ręce z rozpaczy, że też pan Jezus tak prędko już zabrał do siebie i tego nowego Ojca Świętego. Dopiero, kiedy im wytłumaczyłem o co rzecz idzie, wypogodziły się zapłakane oblicza staruszek, i pobiegły w stronę katedralnego kościoła, narzekając, jak to teraz jednakowe drukują karty, gdy idzie o śmierć i wesele.

Przepraszam szanowne nieznajome matrony, ja się nigdy nie zgodzę na to, spojrzawszy na jaśniejące żółtością swoją, wielkie jak kamienica afisze, zapowiadające na Niedzielę wielki Bal maskowy. Wprawdzie na ten bal, zebrały się aż trzy instytucye tutejsze, to jest, ochotnicza straż ogniowa, Imci pan Sokół i młoda ich przyjaciółka Harmonia, więc i większość afisza musi odpowiadać tej wspólce. Dla tej samej przyczyny i trzy orkiestry naraz będą uprzyjemniać gościom zabawę, a między niemi, znowu Harmonia podjęła się utrzymywać harmonię. O północy nastąpi charakterystyczny mazur, zapewne w rodzaju Faustowskiej Walpurgi, potem rozdanie premii najpiękniejszym maskom, wreszcie napowietrzne ewolucye, których już nie pojmujemy, jakiego będą rodzaju, czy gimnastyczne, czy akrobatyczne, czy też językowe, dość, że ewolucye!...

Przynajmniej komitet, urządzający tę zabawę, postąpił otwarcie, ostrzegając publiczność o wszelkich ewentualnościach, jakie ich mogą spotkać za półtora guldena. Nie tak jednakże bywa po innych balach urządzanych przez Stowarzyszenia, które również mają w swej organizacyi nieco harmonii. Słyszeliśmy, że na jednym takim wieczorku, gorącego temperamentu panowie odważyli się wyprawić już nie napowietrzne, ale do-

tykalne ewolucye rękami wtenczas, gdy tylko nogi ich zaproszone były do tańca. Nic dziwnego, żyjemy w czasach siły przed prawem, a choć pan Komierowski w Berlinie pozwolił sobie okazać litość nad słowami Bismarka, a ten pan Bismark musiał połknąć te słowa mizernego deputata — to swoją drogą zasada siły coraz bardziej wchodzi w użycie nawet tam, gdzieby studya prawne powinny ją nieco umitygować.

W ubiegłym tygodniu, kilka wielkich ciał galicyjskich przystępowało do wzajemnego rachunku sumienia. Towarzystwo Kredytowe Galicyjskie zdawało sprawę ze swych czynności całorocznych, z którego to sprawozdania pokazało się, że długi szlachty galicyjskiej rosną na drożdżach w odwrotnym stosunku do publicznej zamożności, i że jak pójdzie tak dalej, zabiorą nas Moskale do Turcyi i postawią na muzułmańskich ołtarzach dla odbierania czci od wyznawców islamu. Wiadomo, że Moskale lubią się opiekować religią!... Dlatego też i drugie Towarzystwo zwane Gospodarczem, zebrawszy się w małym komplecie, płakało przez całe dwa dni nad swoimi losami, płakało zajadając wspólne obiadki i doszło do tej konkluzyi, że kiedy już żydzi nie chcą pożyczać na wielkie procenta, trzeba wysłać deputacye z prośbą do różnych władz krajowych, aby zmusić Bank Narodowy do eskontowania weksli obywatelskich. Doprawdy, że też i ten Bank nie wiadomo jakiej jest narodowości, choć się narodowym nazywa, i czas już byłby, aby swe ojczyste afekta zamanifestował. Przecież i my jesteśmy takim samym narodem, jak naprzykład żydzi, a on się nas wypiera zamykając swe kasy przed nami, kiedy tymczasem tamci czerpią zeń obiema rękami. Dziękuję za taką narodowość Banku bez charakteru, i dla tego dobrze będzie, gdy delegacya nasza przyprze go do muru i zapyta, co on za jeden? Wszak sam Najjaśniejszy Pan nie odmówił Polakom lojalności i uczuć prawdziwie austryackich, dla czegoż więc ten monopolista finansowy nie chce nas uznać swoimi rodakami?

Wobec tych kłopotów finansowych jedno tylko stowarzyszenie przyrodników polskich imienia Kopernika nie pokazało w swem sprawozdaniu żadnego deficytu, pomimo, że wydawało i wydaje pismo zasługujące pod każdym względem na uznanie. Pokazuje się zatem, że tam gdzie się zbierze kółko ludzi dobrej woli, pracy i nauki, i ma szczerą intencyę stać się użyteczną instytucyą dla kraju, tam obejdzie się bez subsydyów i wyciągania błagalnych rąk o pomoc. Takie stowarzyszenie w sobie samem odnajdzie siłę bytu.

Mówiąc o tem stowarzyszeniu, nie podobna pominąć uroczystości, jaką urządziła młodzież Szkoły politechnicznej w rocznicę urodzin wielkiego Kopernika. W głównej auli tej szkoły, muzyka, śpiew solowy i chóry, deklamacya i przemówienia złożyły się na ten wieczorek, za który licznie zebrana publiczność powinna być wdzięczną młodzieży akademickiej. Dwie rzeczy tylko radzilibyśmy na przyszłość poprawić, to jest postarać się o większe popiersie Kopernika, bo to, które widzieliśmy wyglądało zbyt karłowato wśród tak olbrzymiej sali i lasu zieleni, a powtóre urządzić lepszy porządek z wydawaniem rzeczy w sali ustępowej... Prawdziwa wieża Babel utworzyła się przy wyjściu, gdy przyszło szukać ubrania, i podobno bardzo wiele osób musiało powrócić z tej operacyi, jakby z targu chińskiego, gdzie jeszcze w najlepsze prosperuje handel zamienny.

W teatrze „Pojedynek Szlachetnych“ Sewera rozdzielił świat artystyczny lwowski na dwa obozy. Jedni wynoszą tę komedyę na pierwszorzędne stanowisko, drudzy wzruszają tylko ramionami, robiąc tajemniczo wątpliwe miny. A jednak jest to sztuka wcale różnego od innych zakroju tak pod względem formy, dyalogów, założenia i ekspozycyi. Nie razi jaskrawością kolorytu, ani pieprznością dowcipu, do którego przyzwyczaiły nas komedye francuskie, lub farsy niemieckie. Ma ona w sobie coś oryginalnego; z powiewem wiosennego wiatru, który nie truje, lecz owszem wlewa do piersi słuchacza balsamiczną woń serdeczności, wychodzi się z teatru i marzy się o pięknej poetycznej Lidyi i o tym ubogim profesorze historyi, który za wierność swej bogini został i mężem szlachetnej kobiety i parem Anglii i zyskał przyjaźń oryginalnych lordów, którzy kochanka swej siostrzenicy zamykają do więzienia, aby nie uciekł od swego szczęścia... Boże drogi, jakże tu nie marzyć dzisiaj o takich lordach!

Z wstąpieniem nowego papieża na stolicę rzymską duch religijny owładnął nawet gabinetami mocarstw europejskich. Przykład świętego Piotra, który w zapale przywiązania swego do Pana uciął Malchusowi ucho, widocznie oddziaływa na całą sytuacyę europejską... Anglia i Austrya wspominając admonicyę Chrystusa Pana, jaką przy tej sposobności dał swemu apostołowi, kilka razy na dzień wyjmują i chowają swój krwawy miecz do pochwy, gdy Malchus z nad Newy zatkawszy sobie obadwa uszy czapką Iwana Groźnego, stąpa śmiałą nogą do Stambulskiego ogrojca w tem przekonaniu, że w razie gdyby mu i co obcięto, to znajdzie się lekarz na Spreą co ranę tę zagoić potrafi. Niech się namyślają, niech robią gniewnego marsa, aż kozacka nahajka z nad Donu zaświszcze im nad głową. My Polacy znamy się już z nią bardzo dobrze, więc niech też i stara Europa poczuje ten kręcony z surowej skóry humanitarnej ideał moskiewski, a wtedy może się przekona, że wołania nasze nie były oszczerstwem.

TEATR.

(„Pojedynek szlachetnych,“ komedya w 4 aktach przez Sewera, nagrodzona na konkursie warszawskim 1876.)

Znowu sztuka ze współczesnego życia angielskiego, tym razem napisana przez Polaka. Żeby odrazu przystąpić do rzeczy, powiedzmy, że łączy w sobie wielkie zalety z równie wielkiemi wadami. Wszystko, co jest w niej epizodycznem, co należy do tła, do otoczenia bohaterskiej pary, co jest ozdobą głównej treści, ale nie samą treścią, wszystko to jest naturalne, zajmujące, pełne humoru, czasem bardzo subtelnego. Wszystko zaś, co wchodzi w skład głównej osnowy, fabuła jednem słowem jest nienaturalną, niejasną i nawet nieprzyjemną.

Lidya, siostrzenica lorda Harvey, dziedziczka wielkich dóbr i splendorów, zakochała się w ubogim profesorze historyi, Juliuszu. Bogatym pannom angielskim daleko częściej zdarza się ten wypadek zakochania się w ubogim młodzieńcu, niżeli pannom kontynentalnym. Samodzielne i wykształcone ośmielają się wysuwać za obręcz etykiety, gdy ujrzą po za nim pokrewną sobie duszę. Bojąc się dumy młodzieńca, Lidya udaje przed nim ubogą sierotę, guwernantkę. Juliusz kocha także Lidyę, nie domyślając się bogatej dziedziczki, i są już oni jakby narzeczeni, bo już w pierwszej scenie układają sobie obrazy wspólnej przyszłości. Wszystko dotychczas bardzo dobre, i szkoda, że autor tych scen pierwszego poznania się kochanków, przybrania roli guwernantki przez Lidyę i t. d. nie wprowadził do sztuki, a zostawił je przed progiem komedyi, byłaby to bowiem najlepsza część fabuły. Teraz idźmy dalej.

Lidya nie jest jeszcze pełnoletnią i ma dwóch opiekunów: lordów Harvey i Burghley. Wiedzą już oni od trzech miesięcy o wszystkiem, co się święci, i wcale nie myślą przeszkadzać tajemnym stosunkom kochanków; podoba się im nawet postępowanie Lidyi, i nic nie mają przeciw jej małżeństwu z profesorem historyi. Dziwne to trochę, że się aż dwóch naraz tak wyrozumiałych znalazło lordów, ale Anglia jest ojczyzną szlachetnych oryginałów, więc łatwo to jeszcze usprawiedliwić. Gorzej jest z następnem ich postępowaniem. Podsłuchali oni w ogrodzie rozmowę kochanków, w której Juliusz na przypuszczenie, coby było, gdyby Lidya jakimś cudownym trafem została „córką jednej ze starożytnych rodzin Anglii i dziedziczką wielkiego majątku,“ odpowiada patetycznie, że „odszedłby z rozbitem sercem i złamanem życiem, odszedłby, aby już więcej nie wrócić, zepchnięty z drogi, na której widział nadzieję szczęścia.“ Dowiedziawszy się o tak szlachetnem postanowieniu Juliusza, lordowie wpadają na koncept, który już nie jest oryginalnym, ale formalnie dzikim: wydają rozkaz schwytania i uwięzienia ubogiego młodzieńca, który śmie odrzucać rękę ich bogatej i pięknej pupilki. Po zaciętej walce służba przytrzymuje i więzi bohatera, który jest pewny, że powodem tej dzikiej napaści jest to, iż ośmielił się pokochać bogatą dziedziczkę. A nie tylko bohater, ale i widz, który nie miał czasu zdać sobie sprawy z intencyi lordów, półgębkiem wypowiedzianych, i widz tak samo myśli, i dopiero w trzecim akcie na dobre rozjaśniają mu się te intencye.

Związanego bohatera odstawiają do zamku lorda Harley i zamykają w więzieniu. Lidya potajemnie uwalnia więźnia i także półgębkiem tłumaczy mu przyczynę jego uwięzienia. Na dowód, że tak jest, oto ustęp z rozmowy, dotyczący wyjaśnienia:

Juliusz: Pani oskarżasz mnie?

Lidya: Nie ja, moi opiekunowie występują w mej obronie.

Juliusz: I więżą mnie?

Lidya: Pragną zemścić się za upokorzenie wyrządzone przybranej córce i ich rodowi.

Juliusz: Zemścić się?

Lidya: Przecież słyszeli wypowiedziane pańskie przekonanie. Lecz nie mówmy o tem, jesteś pan wolny.

Tylko tyle wyjaśnienia dla tak dzikiego postępku?

Trzeba przyznać, że za mało, a to tem bardziej, że Lidya w wypowiedzianych tu słowach nie zdaje się potępiać postępku opiekunów. Ale idźmy dalej. Lidya uprowadza Juliusza do jakiejś baszty, w której ten ma przeczekać do dnia, ponieważ w nocy park jest otoczony ludźmi. Po zmianie dekoracyi widzimy Juliusza i Lidyę na wierzchu baszty, gdy w tem nadbiega służba z pochodniami i na rozkaz lordów zaczyna zdobywać basztę. Kto uwiadomił lordów o ucieczce więźnia? Nie wiadomo. Podejrzenie widza mogłoby paść na woźnicę Bulla, gdyby choć jednem słowem dał był przedtem do zrozumienia, że ma zamiar to uczynić. A tak, cała ta scena dobywania baszty wybucha niespodzianie z komedyi, jak fajerwerk z ciemności. I po co? Co za myśl mają lordowie, organizując tę scenę? Czy po to, ażeby tak skompromitować swoją kochaną Lidyę, iżby extraszlachetny Juliusz czuł się w obowiązku ożenienia z nią? Nic w tym względzie nie wiemy, jesteśmy jak tabaka w rogu. Wiemy tylko, że Juliusz i Lidya patetycznie deklamują na szczycie baszty, że trzeba umrzeć lub... dotrwać do dnia. „Gdy zaświta, znajdziemy pomoc przechodniów i prawa.“ Ale już brama chwieje się i ma być zaraz wywaloną, więc Lidya, która ma przy sobie zapałki, a wie o prochach w lochu, postanawia wysadzić basztę w powietrze. Jedno potarcie zapałki i komedya zamieni się w okropną tragedyę. Na szczęście Lidya mdleje, brama wywalona, bohater znowu złapany idzie do więzienia. Ten okropnie szlachetny profesor historyi jest bardzo nieszczęśliwym bohaterem, bo przez całą sztukę ścigają go, biją, wiążą, ważą i więżą, a to wszystko dla tego, że się nie chce ożenić z bogatą, piękną, i kochaną przez siebie Lidyą.

Cóż dalej? W trzecim akcie lordowie uzupeł-

niają wiadomości swoje o życiu i charakterze Juliusza. Wszystkie są najpochlebniejsze dla Juliusza, tylko ta rana, którą otrzymał w pojedynku, broniąc honoru siostry przyjaciela, daje do myślenia. Nasuwa się przypuszczenie, że Juliusz inną kochał, i porzucił ją dla Lidyi, o której mógł wiedzieć, że nie jest guwernantką. I Lidya także już pewna, że ją Juliusz zwodził, zgadza się jednak dumna Angielka, ażeby go gwałtem z nią ożeniono. „Jeżeli to jest konieczne dla ratowania mej godności, zgadzam się... Lecz od ołtarza niech idzie, niech wraca do...“ O kobiety! kobiety! O Lidyo! Lidyo! Chciałaś wysadzać basztę prochem, choć dalipan nie było do tego dostatecznych powodów, a teraz w taki sposób chcesz ratować swoją godność!

Historya rany Juliusza pozostaje niewyjaśnioną do końca, jak i wiele innych rzeczy, lordowie jednak mają sposobność przekonać się, że on nikogo prócz Lidyi nie kochał, że zatem... czas zakończyć sztukę i ożenić profesora z Lidyą. Cóż profesor na to wszystko? Czy minął już w nim ultra-szlachetny wstręt do małżeństwa z piękną Lidyą? Doprawdy, nie wiemy, można jednak myśleć, że minął, bo do ślubu stawi się dobrowolnie, przynajmniej nie związany. Po dopełnieniu ślubnego aktu, odczytują patent królowej, mianujący Juliusza Stanley następcą lorda Burghley.

Doprawdy trudno wymyśleć bardziej nieprawdopodobną, dziwaczną i niejasną fabułę od fabuły „Pojedynku szlachetnych.“ Jeden z recenzentów lwowskich, któremu się sztuka p. Sewera bezwzględnie podobała, broni dzikiego pomysłu łapania i więzienia kochanka, powiadając, że jeżeli dziś coś podobnego nie mogłoby się zdarzyć w Anglii, to lat temu sto lub dwieście nie było tam rzeczą nadzwyczajną i ztąd wniosek, że autor miał zupełne prawo wprowadzić ten dziki pomysł do swej komedyi. Więc gdyby ktoś dzisiaj do współczesnej polskiej komedyi wprowadził zajazd staro-szlachecki, to także by miał racyę, bo przecież jeszcze stu lat nie ma, jak bywały i to tak częste zajazdy w Polsce.

A nietylko nieprawdopodobieństwem, dziwacznością i niejasnością razi fabuła, ale i czemś więcej jeszcze. Oto para kochanków, która ma być bardzo szlachetną, staje się, niestety, śmieszną. Już przy opowiadaniu treści zwracałem uwagę na ustępy, które w śmiesznem świetle przedstawiają tę parę. Tu pozostaje mi dodać, że ten strasznie ambitny i dbający o godność swoją Juliusz, przy końcu okazuje się bardzo pobłażliwym, i zdaje się nawet nie czuć, jak ubliżającem dlań było postępowanie szlachetnych lordów, którzy wprawdzie mieli dla niego najlepsze chęci, ale bawili się z nim, jak z pieskiem. W ogóle sztuka daleko właściwiej mogłaby się nazywać „Jak się lordowie bawią,“ aniżeli „Pojedynek szlachetnych.“ Lordowie mieli aż nadto wiele innych sposobów zatrzymania Juliusza przy Lidyi, ażeby ich postępowanie mogła usprawiedliwiać konieczność.

Osądziliśmy ostro fabułę komedyi, tem ostrzej, że mamy do czynienia z jednym z najwybitniejszych talentów, jeśli nie dramatycznych w szczególności, to literackich w ogóle. Pozostaje mi teraz przyjemniejsza część zadania, to jest zwrócenie uwagi na tło, epizody i figury drugorzędne, co wszystko na największe zasługuje pochwały. Można powiedzieć, że nie fabuła, ale samo tło jest duszą komedyi, ono to zapewnia jej powodzenie, i może na długo ją utrzymać w repertoarzu. Tem tłem jest dwór lorda Harvey, pełny oryginalnych typów, do których naprzód należą samiż dwaj lordowie, potem woźnica Bull i jego żona, „nieszczęśliwa“ Peggy, wyprostowany Kidd, sekretarz lorda Broughley, który tak wygląda, jakby połknął rozsądek w kształcie kija, naiwny bibliotekarz Kuff, którego honor starożytnej Grecyi więcej obchodzi, jak współczesne losy Anglii, nareszcie stary Pocock, dozorca więzienia, najmisterniej opracowana ze wszystkich figura.

Tło jest tak żywe i tak szeroko rospostarte, że główna intryga, i bez tego słaba, choć dziwacznie rozwinięta, jeszcze bardziej na tem tle maleje. Można śmiało powiedzieć, że wszystkie osoby drugorzędne ze swego położenia w komedyi, bardziej są na pierwszy plan wysunięte, żywsze są, wyrazistsze, pełniejsze, więcej się ruszają, mówią i działają od niefortunnej pary kochanków, którzy pokazują się ukradkiem, mówią półgębkiem, a i to, co mówią, nosi na sobie cechę deklamacyi, ale nie szczerego uczucia.

Najznakomitszym z epizodów jest scena, w której Bull spaja Pococka, aby zabrać od niego klucz od więzienia. Wybornym także epizodem jest rozmowa z Kuffem o literaturze klasycznej, ale umieścił ją autor w fatalnem miejscu, bo przy samym końcu sztuki, gdzie nie czas na epizody i dla tego bawi ona wprawdzie, ale i niecierpliwi zarazem.

Lidyą była pani Nowakowska i z tej niezbyt naturalnej roli nie udało się jej stworzyć zrozumiałej i sympatycznej postaci. Za to gra pp. Ładnowskiego (lord Harvey), Zamojskiego (Bull), Fiszera, (lord Broughley) i Zboińskiego (Pocock), a w szczególności dwóch ostatnich, misternie była wykończoną do najdrobniejszych szczegółów. Bardzo dobrym Kuffem był p. Linkowski, a Kiddem p Konarski. Z powodzeniem odegrali swoje role: pani Linkowska (Peggy), pani Kwiecińska (Letty) i p Walewski (jej narzeczony). Tylko o panu Kwiecińskim trudno coś powiedzieć, i można tylko ubolewać nad nim, że mu się tak niewdzięczna dostała rola. *J. T.*

Sprostowanie. W ostatniem sprawozdaniu teatralnem w trzecim wierszu od końca wydrukowano *w satyrze* zamiast *w sztuce.*

LISTY Z KRAJU.

Ropczyce.

Jedynie świadomość celu może umożliwić stosowny wybór między drogami wiodącemi do osiągnienia onegoż. Jeżeli cel nie jest jasny i droga nie może być pewna i stała. U nas dotąd panuje wielka chwiejność w pojmowaniu celu czyli ostatecznego zadania szkoły ludowej. Ztąd nawoływania do reformy, utyskiwania na mały wpływ, jaki szkoła wywiera na ogół i t. d. są na porządku dziennym. I nie można się temu dziwić. U nas gdzie od dziesiątka lat dopiero zaczęto oglądać się na szkołę ludową, musi ona przejść różne próby i długo służyć jednym za cel pocisków nieprzyjaznych, innym za przedmiot do czynienia eksperymentów. To wszystko bowiem przeszła szkoła ludowa w tych krajach, w których nieco wcześniej niż u nas pomyślano o oświacie ludowej. Wszędzie znajdą się zwolennicy wykształcenia formalnego, jak niemniej nigdzie nie brak zwoleników utylitaryzmu, którzy pragną, by nauka nabyta w szkole niosła złote jajko. Walka pomiędzy rzeczonymi obozami wzmogła się od czasu pojawienia się naukowego planu dla szkół lud. wszelkiej kategoryi. Jedni widzą w pomienionym planie tylko pewne braki, podczas gdy inni uważają go wprost dla kraju za szkodliwy. Na dowód przytaczam tutaj zdanie umieszczone w „Bartniku nr. 9 z r. 1877: „Ludzie dobrej woli utrzymują, że na teraźniejszym planie wytworzą szkoły wiejskie proletaryat, który utraci spryt gospodarski i zamiłowanie ciężkiej pracy a gonić będzie za lekkim chlebem, póki go ręka sprawiedliwości w pogoni nie wstrzyma“.

Szanownemu autorowi zdaje się, że plan powstał na gruzach krachu wiedeńskiego. Nie sądzimy, by tak źle było, nie możemy atoli powstrzymać się od uwagi, że sukienka ta, w którą przystrojono nasze szkoły ludowe, ścięta krojem zagranicznym, odznacza się długimi rękawami, pozostawiając co do innych części składowych wiele do życzenia. Nie w Wiedniu, nie za granicą ale w domu trzeba szukać podstawy do ułożenia planu naukowego I jesteśmy pewni, że częściowa łatanina w planie nie zaradzi złemu i zachodzi obawa, by szkoły ludowe nie ogarnęła taka niemoc, jakiej uległy szkoły wydziałowe, które mimo gorących życzeń władz rozwinąć się nie mogą. Proszę tylko wziąć na uwagę, że uczeń szkoły wydziałowej po jej ukończeniu liczy 16 a najczęściej 18 lat wieku; kiedyż nauczy się rzemiosła lub wydoskonali w innem zajęciu, gdy w 20 roku biorą go do wojska? A przecież rzemiosło ma stanowić źródło jego utrzymania z rodziną.

Kierownik pewnej szkoły wydziałowej zachęcając rodziców do posyłania dzieci do szkoły pomienionej, wylicza urzęda, do których uczeń takowej może być przyjęty. Czy ten pan pojmuje cel szkół wydziałowych, wątpić należy, i o wiele by rozsądniej uczynił, wypowiadając otwarcie, że szkoła wydz. jest, wobec powszechnej służby w wojsku, szkołą przygotowawczą na podoficerów. Z tego cośmy dotąd przytoczyli, pokazuje się, żeśmy jeszcze nie stoczyli walki o zasady, a póki ta nie zostanie rozstrzygniętą, dopokąd w kraju nie wyrobi się jasny pogląd na ostateczne zadanie szkoły, nie przyjdziemy do planu, odpowiadającego istotnym potrzebom ludu. Ksiądz Piramowicz mówi: „Każdyby wolał w miasteczku, we wsi człowieka do leczenia koni i bydła, do zapobiegania zarazie, niż próżnego czytelnika, choćby i najpiękniej piszącego“.

Powyższe słowa winniśmy mieć ciągle na uwadze „jeżeli nie chcemy spotkać się z zarzutem wyżej z „Bartnika“ przytoczonym.

Jednych i tych samych przedmiotów można różnie uczyć. Inaczej uczymy przedmiotu, gdy tenże jest środkiem, a inaczej gdy przedmiot będzie celem nauki. Szkoła ludowa zaprawiając młódź do spekulacyi umysłowej, mija się z przeznaczeniem, bo zawodem młodzi ze szkoły lud. nie będzie adwokatura, ani zajęcie czysto umysłowe, ale praca fizyczna około roli, ogrodu, sadu, w warstacie i td., dlatego do tej pracy zachęcać należy młodzież naszą w szkole ludowej, bo tylko praca i jej zamiłowanie może umoralnić człowieka. Ale taka nauka nie może się odbywać tylko między ścianami szkolnemi, ani „ważnej czynności życia roślinnego“ nie będziemy uczyli na kawałku cukru zanurzonego w wodzie, jeżeli nauka nie ma pozostać martwą a nauczyciel blagierem, który nie wie, że pęcherzykowate tkanki roślinnne, to nie dziurki w cukrze! *J. K.*

Wiadomości z kraju i ze świata.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

Na medal zapisali się:
17. Wny Jastrzębski z Halifax.

Na *Złote myśli* zapisali się:
20. Wny Aleks. Szeligowski ze Lwowa.
21. Wny Jędrzej Turek z Sóovàr.
22. Wny Jastrzębski z Halifax.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Stara baśń i Lubonie* rozpoczynające cykl historycznych powieści J. I. Kraszewskiego zostały w Warszawie już zupełnie wyczerpane. *Stara Baśń* wyjdzie w nowem ozdobnem wydaniu z illustracyami Andriollego na wzór *Maryi* Malczewskiego w dużym formacie.

— Uniwersytet w Turynie postanowił przypuszczać kobiety do wszystkich studyów akademickich i uczonych stopni.

— Krytyk niemiecki „Ślubów panieńskich“, znalazł jakiegoś „starszego brata“ Aleksandra Fredry imieniem Maksymiliana, z którego komedyopisarz brał motta do swoich utworów.

Dowód to dziwnej uczonych niegdyś Niemiec ignorancyi. Mniemany „brat starszy“ zgasłego przed dwoma laty komedyopisarza zmarł w roku 1679, to jest przed dwustu laty. Prócz bliżej nas obchodzących dziejów Henryka Walezyusza, pisał o sztuce wojennej, o polityce, o moralności, to jest o rzeczach ogólnie ludzkich. Dla zwięzłości i głębokości myśli, zwano go „Tacytem polskim.“

Jego „Przysłowia mów potocznych,“ ogłoszone po raz pierwszy w r. 1658, miały kilkanaście edycyj, tłumaczono je na język łaciński, małoruski, a może i na inne. Z tych to przysłów autor „Ślubów Panieńskich“ brał godła do swoich utworów.

— Powieść Teodora Tomasza Jeża: „Żarnica,“ przełożoną została na język rossyjski w gazecie *Dieło.*

Nekrologia.

† *Zygmunt Działowski,* poseł na Sejm niemiecki z Prus polskich, założyciel i główny filar Towarzystwa naukowego toruńskiego, umarł w Berlinie dnia 17go lutego br.

† *Jan Daraszkiewicz,* były żołnierz z powstania narodowego 1863 r., rodem z Litwy, przeżywszy lat 38, umarł w Paryżu dnia 30. grudnia 1877 r. Dla swego prawego charakteru powszechnie ceniony za życia, po śmierci obudził głęboki żal rodaków, którzy go bliżej znali. Nad grobem przemawiali ks. A. Balczewski i J. N. Rayski.

WARYAT.

CZARNA POWIASTKA.

(Z francuskiego).

I.

Z czasu mego pobytu w kolegium na prowincyi przypominam sobie jak najdokładniej nieskończenie długi korytarz, o którym teraz jeszcze, po dwudziestu latach, nie mogę myśleć bez pewnego drżenia.

Wszystkie okna tej galeryi, zakratowane jak w więzieniu, otwierały się z zewnątrz i wychodziły na dwa podwórza dość czyste lecz ponure, na ogród starannie utrzymany, lecz niewypowiedzianie smutny, nawet w uroczej porze wiosennej.

Ten ogród i podwórza należały do szpitala waryatów.

Przepisy kolegium nakazywały, abyśmy nie wchodzili tam pod żadnym pozorem.

Najgorętszem życzeniem każdego z nas, a nawet pewnego rodzaju ambicyą, było dostać się tam choć na chwilę.

Dom waryatów posiadał w naszych oczach dziwnie tajemniczy urok. Zaciekawiał nas i zajmował niewymownie.

To też gdy któremu z nas po zwalczeniu rozlicznych trudności, udało się tam dostać, koledzy uważali go za prawdziwego bohatera.

Gdy taki bohater w czasie rekreacyi opowiadał nam o swej wyprawie, słuchaliśmy go z głęboką uwagą, chociaż nie powiedział nam nic nowego, gdyż wszystkie te szczegóły znaliśmy oddawna.

Ponieważ prawie każdy z nas zatrzymywał się tam choćby raz jeden we framudze okna, wtajemniczyliśmy się powoli w bardzo wiele rzeczy, dotyczących tego ciekawego gmachu.

Wiedzieliśmy, że na samym środku ogrodu była łączka, a raczej trawnik, dokoła którego najspokojniejsi i nieszkodliwi, lub też będący na drodze do zupełnego wyzdrowienia, przechadzali się powoli, automatycznie. Pomiędzy innemi, dziewczyna na którą nie można było patrzeć bez wzruszenia, najżywiej nas zajmowała.

Była nadzwyczaj szczupła, podobna raczej do cienia niż do żyjącej istoty.

Oczy miała duże, cerę bladą, prawie przezroczystą.

Chodziła cały dzień po ogrodzie, patrząc przed siebie błędnym wzrokiem i bezdźwięcznym głosem, jak gdyby pochodzącym z rozbitego dzwonu, śpiewała jakąś piosnkę miłosną, powtarzając ją bezustannie.

Była ona uosobieniem strasznego jakiegoś dramatu. Co to było i jak, łamaliśmy sobie głowy napróżno.

A może nikt nie wiedział o tem...

Potem opowiadaliśmy sobie legendy. Najstarsi z pomiędzy nas utrzymywali, że tam w ogrodzie żaden kwiatek rozwinąć się nie może i żaden owoc nie dojrzewa.

Opowiadano mnóstwo innych baśni, wylęgłych w strachu, jaki w nas budziło to przykre sąsiedztwo. Mówiono, że zakonnice doglądające chorych, narażone są na największe niebezpieczeństwa, a opisy siły fizycznej i brutalstwa stróżów, przechodziły granice możliwości i prawdopodobieństwa.

Co najdziwniejsza, że nikt nie utworzył na ten temat komicznych anegdotek. Widocznie litowaliśmy się nad biedakami, zamkniętymi w tem więzieniu.

Dzieci, tak jak ludy dzikie, uważają widać pomieszanie zmysłów za coś świętego prawie, gdyż po każdej rozmowie w tym przedmiocie rozchodziliśmy się przejęci niezmierną, bezgraniczną litością.

Blade dziewczę, chodzące bezustannie dokoła trawnika z piosnką na ustach, zajmowało nas niesłychanie, każdy z nas kochał się w niej skrycie.

Pomiędzy spokojnymi waryatami, którym wolno było przebywać w ogrodzie, jeden melancholik zwrócił naszą uwagę.

Skulony siedział ciągle na słupku, oparłszy ręce na kolanach, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Jego krzyż i plecy znamionowały siłę i kolosalną budowę. Był to rodzaj olbrzyma.

Co najdziwniejsza, żaden z nas nie widział nigdy jego twarzy. Siedział zawsze na tem samem miejscu i w tej samej pozie.

Co do innych waryatów, patrząc z wysokości i oddalenia, uważaliśmy niektórych za mądrzejszych od naszych nauczycieli nawet...

II.

W dwa czy trzy lata po ukończeniu nauk w kolegium spotkałem się z synem dyrektora tego szpitala.

Był to miły i elegancki chłopak, który później niestety wszedł na bardzo złą drogę.

Zaprzyjaźniliśmy się z sobą bardzo prędko i pewnego wieczora, gdy kończyliśmy obiad, towarzysz mój wspomniał o swym ojcu.

Fantastyczne legendy z czasów szkolnych stanęły mi żywo w pamięci.

Zadałem mu kilka pytań.

Młoda dziewczynka z miłośną piosnką na wybladłych ustach przestała już cierpieć i śpiewać.

Co do olbrzyma, siedzi zawsze na tym słupku milczący uparcie.

Przyszło mi na myśl zaspokoić dawno rozbudzoną ciekawość, i spytałem czy nie można zwiedzić zakładu.

Wahał się z odpowiedzią i nareszcie obiecał postarać się u ojca, o ten dowód łaski.

— A czy mogę zabrać kogo z sobą? — spytałem.

— Najwięcej dwie osoby.

— Jedna z moich kuzynek — rzekłem — nudzi mnie o to od dość dawna, i ona to prosiła mnie, bym wyjednał u ciebie pozwolenie.

— Pojutrze będę na wasze rozkazy.

Mam niezliczone mnóstwo kuzynek. Osoba którą dom waryatów zaciekawiał tak bardzo, była córką mego wuja.

Oznajmiłem jej o rezultacie mej prośby i gdy przyszedłem po nią w dniu oznaczonym, zastałem ją już ubraną.

Mała Janinka, trzyletnia jej córeczka, wystrojona jak lalka, uczepiła się jej sukni.

— Jakto! — zawołałem — chcesz zabrać to dziecko?

— A dlaczegożby nie? — spytała.

— Ależ — odparłem — szpital waryatów nie jest miejscem odpowiedniem dla dzieci.

— Eh! daj pokój! dziecko przejdzie się trochę. A wreszcie nie pozwoliłaby mi jechać, gdybym ją chciała zostawić w domu.

Janinka, prześliczne dziecię, rozpieszczone niesłychanie, nadużyła swej władzy z prawdziwą tyranią.

Nalegałem żeby ją zostawić w domu, lecz bezowocnie. Gdy myśl jaka założy sobie gniazdko w ślicznej główce kobiecej, niepodobna jej ztamtąd wypędzić.

Musiałem ustąpić i w godzinę potem, mój przyjaciel przyjmował nas w progu zakładu, ofiarując się za przewodnika.

Oprowadzał nas naprzód po tych częściach szpitala, którémi gorliwy dyrektor szczycić się może, kuchnie jaśniały wzorowym porządkiem, a sypialnie były jak najstaranniej utrzymane.

Przyznaję, że nie bardzo mnie to zajmowało i nie bawiło wcale.

Ale widząc z jaką uprzejmością syn dyrektora przyjmuje moją kuzynkę, miałem prawo spodziewać się, że przez łaskawe względy dla płci pięknej, zaprowadzi i mnie do tych części zakładu, które mnie zawsze nęciły swą tajemniczością.

I rzeczywiście, w kilka chwil potem zaprowadził nas do ogrodu.

Pomimo woli, wzrok mój padł na mur sąsiedni, i zdawało mi się, że rumiana twarzyczka studencika z kolegium, mignęła mi przed oczyma.

Nic się tam nie zmieniło od tego czasu. Kilkunastu półwaryatów błądziło po ogrodzie, a na słupku siedziała znana mi dobrze osobistość, olbrzym z zasłoniętą twarzą.

Widok tego człowieka wzruszył mnie do głębi — a może, pomyślałem, dowiem się nareszcie szczegółów z jego życia i przyczyny utraty zmysłów.

— Czy nie ma tutaj żadnego niebezpieczeństwa? — spytała moja kuzynka wchodząc do ogrodu.

— Nie, pani — zapewnił mój przyjaciel. — Wszyscy ci biedacy są blizcy zupełnego wyzdrowienia.

Poszliśmy dalej. Przechodząc obok milczącego olbrzyma, przyglądałem mu się uważnie.

Siedział tak jak zwykle, smutny i zamyślony, i nie spostrzegł nawet naszej obecności.

Podobny był raczej do marmurowego posągu niż do człowieka.

— Czy znasz jego dzieje? — spytałem przyjaciela.— Co do mnie, przypuszczam, że jakaś straszna boleść złamała tego Herkulesa.

— Tak, znam tę historyę. Nazywa się Fèvre...

Janinka przerwała opowiadającemu, wołając z prawdziwie dziecinną radością:

— Ah! ten pan umie historye, bajeczki! Opowiesz nam je? dobrze?

Na dźwięk jej srebrnego głosu, olbrzym wyprostował się i zwrócił ku nam oczy. Mógł mieć około lat czterdziestu. Spojrzenie miał żywe, energiczne. Był jeszcze wyższy niż przypuszczałem, widując go z daleka.

Zwrócił się ku nam, lecz wzrok jego wlepiony był tylko w Janinkę. Pochłaniał ją wzrokiem, w którym błyszczał straszny, ponury ogień, zapalający się coraz bardziej.

Była to jak gdyby radość niezmierna, której nie mógł pohamować. Otworzył usta chcąc krzyknąć, wzniósł do góry ręce i zatrzymał oddech w ścieśnionej piersi... Cała jego dusza była w tej chwili w oczach, w napół dzikiem przed chwilą spojrzeniu. Nie wiem dlaczego wydał mi się pięknym, pięknością niezwykłą, lecz niezaprzeczoną. Ucieszyłem się niezmiernie, że nasza obecność wyrwała go ze zwykłej martwoty. Serdecznie pragnąłem, żeby wstał i stanął przed nami w całej okazałości.

Ten człowiek zajmował mnie nadzwyczajnie; będąc jeszcze w kolegium, ileż to romansów szkicowałem w myśli na jego rachunek.

Lecz gdy wzrok jego nie przestał śledzić Janinki, zaniepokoiłem się trochę. Dziecię onieśmielone trochę tem natrętnem wejrzeniem, rzekło zniecierpliwione:

— Powiedzcie temu człowiekowi, żeby na mnie nie patrzył. Jaki nieznośny!

Dźwięczny głos dziewczynki wydawał się śpiewem ptaszyny w tym ponurym ogrodzie, kryjącym tylu nieszczęśliwych.

Ten głos zrobił na olbrzymie piorunujące wrażenie. Zerwał się na równe nogi, jak gdyby wyższą jakąś tajemniczą siłą rzucony.

Wydał mi się strasznym zarazem i podziwienia godnym. Był jak Herkules atletycznej budowy, z głową dość małą, lecz dobrze umieszczoną do dźwigania na sobie ciężaru świata całego.

Stanąwszy zdawał się zbierać myśli i wspomnienia.

Uchwycił się za jasne włosy i wyrwał z nich dwie garście z wściekłością nadzwyczajną, wymawiając jakieś niezrozumiałe dla nas wyrazy.

Strach nas ogarnął. Mój przyjaciel blady jak kreda, postanowił wdać się w tę sprawę, i zbliżywszy się do obłąkanego, spytał łagodnie:

— Fèvre, powiedz mi, czy ci co dolega?

Lecz Janinka, widząc, że nieznajomy wydziera włosy z głowy, roześmiała się dźwięcznym srebrzystym śmiechem.

Wówczas obłąkany odepchnął syna dyrektora i rzucił się ku dziewczynce.

Janinka krzyknęła przerażona, a matka nie namyślając się do czego to doprowadzi, zasłoniła ją sobą.

Ja pospieszyłem także na pomoc, lecz czyż mogliśmy oprzeć się człowiekowi, obdarzonemu w napadach szaleństwa nadzwyczajną siłą. (Dok. nast.)

Od Redakcyi.

Pan A. U. we Lwowie. Rzeczy dramatycznych w *Tygodniu* nie umieszczamy.

Pan J. W. w Krakowie. Bliższego adresu P. Zawilińskiego nie znamy. Artykułów anonimowych drukować nie możemy.

Treść Nr. 27.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.